



Pfauówna i Rossowski

Pierwsze Czytania

I.



ZOFJA PFAUÓWNA I STANISŁAW ROSSOWSKI

PIERWSZE CZYTANIA

DLA SZKÓŁ POWSZECHNYCH

CZĘŚĆ PIERWSZA

DLA ODDZIAŁU DRUGIEGO

WYDANIE CZWARTE

ILUSTROWALI

WANDA KORZENIOWSKA, RUDOLF MĘKICKI I MIKOŁAJ WISZNICKI



NAKŁAD I WŁASNOŚĆ
K. S. JAKUBOWSKIEGO WE LWOWIE



M 41942 / 1

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

W szczególności wzbroniony przedruk obrazków i ilustracji, oraz ustępów, oznaczonych w »Spisie ustępów« (str. 3—5) nazwiskami: J. Anusz, Łucjan Błoński, B. Bruchnańska, Konrad Chmielewski, Z. Osika, St. Rossowski, skrótami: Os., St. Ross., tudzież literami: J. A., Z. P.



UP - Kraków BG



1050155452

ODBITO NA PAPIERZE PABJANICKIEJ FABRYKI PAPIERU ROB. SAENDER, S. A.
W Drukarni Jakubowskiego i Sp. we Lwowie 1924 R.

20.12. BG. UP
D. 133 - 1

17

Spis ustępów.

(Utwory wierszowane oznaczono gwiazdką).

	Str.		Str.
*1. Pobłogosław, Boże! Z. Osika	7	*35. Chłopczyk ukarany. St. Jachowicz	25
2. Bracia. B. Bruchnalska	7	36. Lepianka. II. Opowiadanie Jagusi. Z. P.	25
*3. Ja też! J. Anusz	7	*37. Piosnka o wilczku. M. Konopnicka	26
4. Zagadka (Książka) J. A.	8	*38. Ucieczka Bazi. J. Anusz	27
5. Śliwa. Z. Osika	8	39. Zagadka (Kozia) J. A.	28
*6. Jesienią. M. Konopnicka	9	40. Jędrak o mieście: 1. Domy i kościoły. J. Anusz	28
7. Burek. Z. P.	9	*41. W kościele. Or-Ot.	30
*8. Piesek Kruczek. St. Jachowicz	10	42. Jędrak o mieście: 2. Ulice. J. Anusz	30
9. Ulubieńcy Marysi. Z. P.	10	*43. Wiejska droga. Z. Osika	31
*10. Każdy domku swego strzeże. M. Konopnicka	11	44. Kopią i sieją. III. Opowiadanie Jagusi. Z. P.	32
11. Łatawiec. B. Bruchnalska	12	*45. Orka. J. Rogosz-Pieńkowska	33
*12. Wiatr. J. Anusz	12	46. Zagadka (Wrona) J. A.	34
13. Piękny grzyb. Z. P.	13	47. O planetnikach. (Lud.) Z. P.	34
14. Zagadka (Mucha) J. A.	14	48. Kromka chleba. (Powiastka obrazkowa)	35
*15. Muchomor. Z. Osika	14	49. Listopad. St. Rossowski	36
16. Wrzesień. St. Rossowski	14	50. Sobotni promyk. (Lud.) Z. P.	36
*17. Orzeszki. M. Konopnicka	15	51. Sąsiad. IV. Opowiadanie Jagusi. Z. P.	37
18. Zagadka (Orzech) J. A.	15	*52. Prządki	38
19. Nieostrożna zabawa. Z. P.	15	53. Pierwszy śnieg. St. Ross.	38
*20. Rozbój. St. Rossowski	16	54. Zagadka (Śnieg)	40
21. Kłopoty Hanki. Z. P.	16	55. Grudzień. St. Rossowski	40
*22. Bańki mydlane. Or-Ot.	17	*56. Zmarzłak. M. Konopnicka	41
23. Październik. St. Rossowski	18	*57. Na mrozie. M. Konopnicka	41
24. Jak to ze szczytłem było? (Naśladowane) Os.	18	58. Chata z drzewa. V. Opowiadanie Jagusi. Z. P.	42
*25. Wesoly śpiewak. St. Ross.	19	*59. Nasz domek. M. Konopnicka	42
26. Dawno, bardzo dawno. I. Opowiadanie Jagusi. Z. P.	20	60. List Franka do Aniołka. Z. P.	43
27. Zagadka (Siekiera)	20	*61. Drzewko nad drzewkami. Or-Ot	44
28. Kto mniejszy, to pewniejszy (Powiastka obrazkowa)	21	*62. W złości leży... (Kolęda)	44
*29. Nasz dworek. M. Konopnicka	22	63. Boże Narodzenie (Obrazek świąteczny)	45
30. U dziadunia. Z. P.	22		
*31. Miotły, miotłki! J. Anusz	23		
32. Zagadka (Miotła) J. A.	24		
33. Sroka. Z. P.	24		
34. Zagadka (Sroka) J. A.	25		

	Str.		Str.
*64. Ktoby dał Ci, Jezusiczku... Os.	46	*106. Lech. Z. Osika	77
65. Życzenia noworoczne. St. Ross.	46	107. Kotki. J. Anusz	78
66. Zagadka (Krowa) J. A.	47	108. Wielkanoc (Obrazek świą- teczny)	80
67. Styczeń. St. Rossowski	47	109. Alleluja!	81
*68. Gwiazda Trzechkrólowa. M. Konopnicka	48	*110. Święcone. Z. Osika	81
69. Rzemieślnicy. VI. Opowia- danie Jagusi. Z. P.	48	111. Kwiecień. St. Rossowski	81
70. Palce. (Naśladowane) Os.	49	*112. Nasze kwiaty. M. Konop- nicka	82
*71. Język i uszy. J. Anusz	50	*113. O czym ptaszek śpiewa. M. Konopnicka	83
72. Czy znasz? (Zagadki) J. A.	50	114. Gęsi. Wedle A. Janowskie- go	83
73. Pierwszy sołtys. VII. Opo- wiadanie Jagusi. Z. P.	51	*115. Gąski. M. Konopnicka	84
*74. Zła zima. M. Konopnicka	52	116. Smok wawelski. Łucjan Błoński.	84
*75. Jaś Sowizdrzał. Or-Ot	52	*117. Szewczyk. St. Rossowski	86
*76. Wrona	52	118. Obietnica. B. Bruchnalska	87
*77. Ślizgawka. M. Konopnicka	53	*119. Oj, sianko, ty, sianko! J. Anusz	88
*78. Pocieszycielka. J. Anusz	54	120. Zagadka (Koń). J. A.	89
79. Jeleń. (Naśladowane) Os.	54	121. Cztery zuchy. Wedle Ana- tola France'a	89
*80. Zajączek. (Piosnka). M. Ko- nopnicka	55	122. Zabawa w żaby. (Lud.) Z. P.	90
*81. Święta. St. Ross.	56	123. Zagadka (Bocian)	92
82. Piłtno. J. Anusz	57	124. Maj. St. Rossowski	92
*83. Miłosierdzie. Z. Osika	58	*125. Do kukułki. M. Konopnicka	93
84. Groch. St. Rossowski	58	126. Zegar. Z. P.	93
85. Sss! (Naśladowane) Os.	60	127. Zagadka. (Zegar) J. A.	95
*86. Rycerz	61	*128. Godziny. Os.	95
87. Luty. St. Rossowski	61	129. Kwiaty jabłoni. Wedle P. Krakowowej	95
88. Na Gromniczną. St. Ross.	62	*130. Jabłonka. M. Konopnicka	96
*89. W mojej wiosce. Kazi- mierz Łaskowski	63	*131. Motyl i gąsienica. St. Ja- chowicz	96
90. Nieprzyjacieł. IX. Opowia- danie Jagusi. Z. P.	63	132. Wanda, córka Kraka. Łu- cjan Błoński	96
*91. Ojczyzna twa. M. Kono- pnicka	64	*133. Krakowiak. Z. Osika	98
92. Co to są krasnoludki. M. Ko- nopnicka	64	134. Jaśi prosię. Konrad Chmie- lewski	99
93. Konewka. St. Rossowski	65	*135. W obronie Jaśka. M. Ko- nopnicka	100
94. Zagadka (Konewka) J. A.	67	136. Chcącemu nic nie trudno. (Powiastka obrazkowa)	101
*95. Jaś Sowizdrzał na jarmar- ku. Or-Ot	67	137. Dudek. Wedle Chrzász- czewskiej i Haberkant- ówny	102
*96. Zadanie. Z. Osika	67	*138. Dudek i słowik. Z. Osika	103
97. Od sady zdale, bo cię powala! (Powiastka obraz- kowa)	69	139. Zielone Świątki. (Obrazek świąteczny)	104
98. Marzec. St. Rossowski	70	*140. Majenie (Piosnka). M. Ko- nopnicka	105
99. Rodzina lisów. Według B. Dyakowskiego	71	141. W ogrodzie. Z. P.	105
*100. Gra w lisa. M. Konopnicka	72	*142. Uwolnienie. J. Anusz	106
101. Bójka na podwórzu. B. Bruchnalska	72	143. Czubatka. Z. P.	107
102. Zagadka (Kogut) J. A.	73	*144. Dziecię i ślimak. Or-Ot	108
103. Zabawa w woznicę. Z. P.	73	145. Biedronka. J. Anusz	108
104. Długie włosy. Wedle Gu- stafa af Geijerstam	74	*146. Bzum — bzum! St. Ross.	109
105. Gniezno. X. Opowiadanie Jagusi. Z. P.	76	147. Popiel. Łucjan Błoński	110

	Str.		Str.
*148. Nad Gopłem. Os.	111	163. Jagnię. (Naśladowane) Os.	128
149. Przygody Janka (Powiast- ka obrazkowa)	112	*164. W lesie. (Piosnka). M. Ko- nopnicka	131
150. Lilja wodna i wróżka. B. Bruchnalska.	113	165. Mysz wiejska i mysz miej- ska. Z. P.	131
*151. Janek i wróble. Z. Osika .	116	*166. Kasia gęsiarka. Z. Osika .	133
*152. Wróbelki	117	167. Jak to nazwać jednym sło- wem? (Zagadki) J. A. . . .	135
153. Na podwórku. Z. Osika .	117	168. Lato. St. Rossowski:	
154. Nad rzeką. Z. P.	118	1. Czerwiec	135
*155. Przyjaciele. J. Anusz . .	119	2. Lipiec	136
156. Co Basia widziała na o- brazku. B. Bruchnalska .	120	3. Sierpień	136
*157. Miś. Os.	122	*169. Pszczółki. M. Konopnicka	137
158. Szkoda, przygoda — do mądrości droga (Obrazek. Opowiedzieć całe zdarze- nie!)	123	170. Zagadka (Pszczółka) J. A. .	137
159. Kot i wróbel. St. Rossowski	124	171. Spor. (Naśladowane) Os. .	137
*160. Chory kotek. St. Jacho- wicz	124	172. Postrzyżyny Mieszka. Łu- cjan Błoński	138
161. Piast kołodziej. Łucjan Błoński	126	173. Zagadka (Oczy). J. A. . .	139
*162. Rota. M. Konopnicka . .	128	174. Do Warszawy! Z. Osika .	140
		*175. Nasze grody. St. Ross. .	141
		176. Orzeł Biały. Z. P. . . .	142
		*177. Katechizm polskiego dziecka. Wł. Bełza	143

1.

Pobłogosław, Boże!

Pobłogosław, Panie Boże,
Przy nauce polskie dzieci.
Niech nas dobroć Twa wspomóżę,
Łaska Twoja niech oświeci.

2.

Bracia.

Szymek idzie do szkoły po raz pierwszy.

Franek, brat starszy, ogląda go dokoła.

— Dobrze! mówi. — Jesteś umyty i uczesany.
Ubranie i buty na tobie czyste. Chodźmy!

Szymek udaje zucha, lecz jest trochę przestraszony.

— Nie bój się! uspokaja go Franek. — W szkole jest dobrze. Musisz tylko słuchać rozkazów jak żołnierz. Na pytania odpowiadaj śmiało! Mów zawsze prawdę!

No, prędej, Szymku! Do szkoły spóźnić się nie wolno!

*3.

Ja też!

Bardzo Franka podziwiają: mała siostra, bracia mali.

— Pierwszy uczeń z naszej chaty! tak sam ojciec nim się chwali.

Mama nieraz do sąsiadów mówi:

— Franek zuch i kwita! Nie nadarmo siedzi w szkole. On już pisze! On już czyta!

— Czyż on jeden to potrafi? Tatku, mamu, ciesz się, ciesz. I ja w szkole nie próżnuję. Ja też czytam, piszę też!

4.

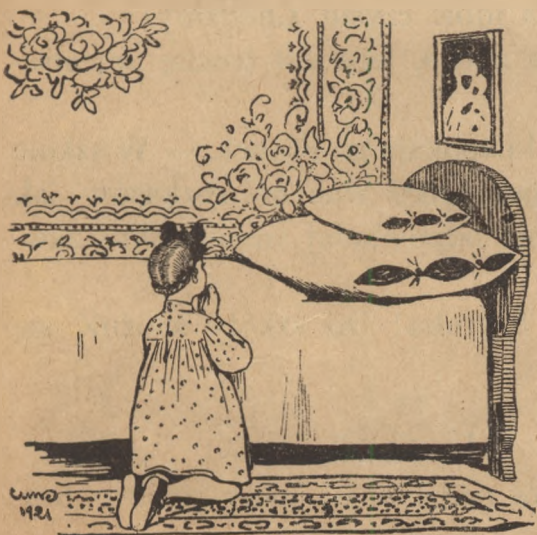
Zagadka.

W domu leżę na półce lub stole. Codziennie z tobą jestem w szkole. W święta, w niedziele bywam w kościele. Bądź rad mi, nauczę cię wiele.

5.

Śliwa.

Naprzeciw okna rośnie śliwa. Wieczorem wiatr poruszył jej gałęzie. Jedna uderzyła o szybę.



Puk! Puk! sły-
chać w pokoju.

— A co tam?
pyta Andzia.

— Daję pa-
nience znać: czas
już spać!

Dziewczynka
książeczki skła-
da, rodzicom
i rodzeństwu do-
branoc powiada!

Potem przed obrazem Matki Boskiej klęka i od-
mawia paciorek. Po modlitwie ściele sobie łóżeczko.

A tu słyhać znowu: Puk! Puk!

— Czy się to nie skończy? mówi dziecko. —
Spać mam przecież.

Gałązka odpowiada:

— Chciałam tylko życzyć panience dobranoc.
Spijże do białego rana. Rano zapukam znowu. Niech
Andzia wcześniej wstanie. Słodką śliweczkę dosta-
nie na śniadanie.

* 6.

Jesienią.

Jesienią, jesienią sady się rumienią: czerwone
jabłuszka pomiędzy zielenią.

— Pójdę ja się, pójdę, pokłonić jabłoni, może
mi jabłuszko w czapeczkę uroni. Pójdę ja do gru-
szy, nastawię fartuszką, może z drzewa spadnie ja-
ka śliczna gruszka!

Jesienią, jesienią sady się rumienią: czerwone
jabłuszka pomiędzy zielenią.

7.

Burek.

— Kochany mój Burku! rzekł Franek do swe-
go pieska. — Nie mogę już dłużej bawić się z tobą.
Wakacje skończone, idę do
szkoły. Trzeba zabierać się
do roboty.

Podaj mi łapę! mówił
dalej. — Za kilka godzin



wrócę. Tymczasem pilnuj mego drewnianego ko-
nika. Nie szczekaj jednak o byle co! Obudzisz mi
siostrzyczkę!

Burek podał chłopczykowi łapę. Machał przytem ogonem w prawo i w lewo na znak, że obiecuje Frankowi posłuszeństwo i nie sprawi mu przykrości.

*8.

Piesek Kruczek.

— Chodź, piesku! — A ten piesek nazywał się Kruczek. — Chodź! mówił Hipolitek — nauczę cię sztuczek.

— Jestem jeszcze za mały. Ucz panicz Azora!

— Nie, piesku — rzecze chłopczyk — to najlepsza pora. Azor stary, nie pojmie. Pracować z nim nudno. I tobie później byłoby to trudno. O, wieleby cię, wiele pracy kosztowało! Teraz, zobaczysz, jak mało!

Wkrótce pojętny Kruczek nauczył się wielu sztuczek. Służył, podawał i pływał, tysiąc figlów dokazywał.

9.

Ulubieńcy Marysi.



Na podwórku pani Maciejowej, na wysokim słupie stoi mały domek. Mieszkańcy tego domku — to ulubieńcy Marysi. Rankiem zaraz biegnie ona do okna i patrzy, co też porabiają państwo Gruchalscy. Czy już wstali? Czy zdrowi? Czy dzieci ich wesołe?

— Bywajcie! Bywajcie! Dzieńdobry państwu! Jakże się spało?

woła. — Przyjdę do was zaraz po śniadaniu. Nazbieram okruszyn, a może i ziarna od mamy dostanę.

Po chwili jest już Marysia pod domkiem i woła:

— Duś, duś!

A z małego domku — frrr, frrr, frrr! To pan Gruchalski i pani Gruchalska lecą z dziećmi do swojej karmicielki. Pani Gruchalska usiadła jej na ramieniu, pan Gruchalski na dłoni, dzieci na brzęgach sita i dalejże wyjadać ziarno! A Marysia głaska swoich ulubieńców. Głaska po główkach, po skrzydełkach.

— Chwała Bogu! Nic złego w nocy wam się nie stało. Żaden szkodnik nie zakradł się do was. No, lećcie teraz pod jasne niebo i wracajcie zdrowo!

* 10.

Każdy domku swego strzeże.

Dzieci: Gdzie lećcie gołąbeczki wysoko, to nisko?

Gołębie: Patrzym, patrzym, czy nie widać jastrzębia gdzie blisko.

Bo ten jastrząb zły, niecnota, ma okrutne szpony i dziób mocny, zakrzywiony, tego wyostrzony. Jak uderzy w gniazdo nasze, to polecą pierze!



Każdy przecie, choć najsłabszy, domku swego strzeże.

Latawiec.

— Szymku, dziś wiatr! Chodź ze mną, wypróbujemy latawca.

Poszli na niedaleką łąkę. Wojtuś chwycił za sznurek, a Szymek trzymał latawca.

Biegnie Wojtuś, a latawiec wzbija się w górę.

— Leci! Naprawdę leci!

Nagle wiatr zakolysał latawcem w prawo i w lewo. Latawiec wywinął młynka i jak strzała spadł na ziemię.

— Nic z tego Szymku! Wracajmy do domu! Ogon za krótki. Musimy go przedłużyć!

Wiatr.

Mówi się o mnie, że ładaco, że się nie zajmę żadną pracą. Lecz kto tak twierdzi, ten jest w błędzie. Ślad prac mych widać co dnia, wszędzie.

Z wiosną zaczyna się robota: osuszyć mam czem prędzej błota.

W upałach lata, w letnim skwarze, ja spiekłą ziemię deszczem darzę.

Po lecie jesień chłody niesie: wtedy z drzew liście strząsam w lesie.

Zimą znów inny trud mnie czeka: śnieżycę ściągam tu zdaleka.

Piękny grzyb.

Pani Maciejowa przygotowuje grzyby do suszenia. Ośmioletnia Marysia nawleka je na sznurek. Pomaga matce, jak może.

I Franek, jej brat, nie próżnuje. Pobiegł do pobliskiego lasu, aby jeszcze więcej grzybów nazbierać. Miał ich już prawie pełny koszyk. Nagle spostrzegł coś czerwonego.

— A tuś, piękny mój panie! — Zdejmuje czapkę i kłania się grzybowi. — Bardzo mnie to cieszy, że pana spotykam. Ładny twój kapelusz: czerwony w białe kropki. Zapewne i smaczny jesteś. Niechże pan pozwoli ze mną!

Wrzuca grzyb do koszyka i pędzi do matki.

— Mój synku! Bardzo ładny to grzyb, ale jest on trucizną. Zaraz przekonasz się o tem.

Matka polala grzyb wrzącą wodą, posypała go cukrem i położyła na oknie. Na szybach uwijało się mnóstwo much. Zrazu jedna po drugiej, polem gromadnie obsiadły grzyb i raczyły się słodyczą. Ale już w kilka chwil później poczęły padać nieżywe.

— Widzisz, — rzekła matka do Franka — we wrzątku rozpuścił się nie tylko cukier, lecz także trucizna grzyba. Muchy nassały się jej z cukrem i zginęły. Dlatego grzyb ten nazywa się muchomór. Człowiek także struć się nim może. Już i to bywało. Nawet w naszej wsi otruło się raz dziecko muchomore.

14.

Zagadka.

Wszędzie się wciśnie i spokoju nie da, przez całe lato z nią bieda. Słodczye zjada, do mleka wpada, — któż to ów natręt nielada?

* 15.

Muchomór.

Wystroił się pan muchomór, aż patrzeć przyjemnie. Myśli:

— Teraz nikt nie zgadnie, że trucizna we mnie!

Wyszli nasi w las na grzyby. Pełno ludzi w borze! Cóż? Czy bardzo się do ciebie garną, panie muchomorze? Borowików i opienek kosze nazbierali, a od ciebie każdy stroni, każdy jak najdalej!

Chyba czasem któraś matka przyucza swe dzieci:

— Macie przykład, że nie wszystko złotem jest, co świeci!

16.

Wrzesień.

Skończył się sierpień, nadszedł nowy miesiąc. Drzewa w lesie dały mu prześliczny płaszcz z różnobarwnych liści. Od leszczyny dostał orzechów, od jarzębiny jagód czerwonych. Nie poskapiły darów głogi, tarniny. Zewsząd zbierał upominki.

— A ty — żartobliwie spytał drobną krzewinę przy ziemi — ty nic mi nie dasz?

Krzaczek odparł:

— Jestem najbiedniejszy z biednych. Tam rosnę, gdzie nic rósć nie może. Mam drobne, liljowe

kwiaty. Pszczoły zbierają z nich ostatni swój plon w roku. Pewnie słyszałeś o tem. Wszak jestem wrzos.

— Podobasz mi się i podoba mi się twoja nazwa. Dajże mi ją, abym miał coś i od ciebie. Na pamiątkę naszego spotkania nazwę się Wrzesień.

* 17.

Orzeszki.

Dalej, śmieszki, na orzeszki! Dalej, razem w las! Już leszczyna się ugina, woła, woła nas.

My, leszczyno, ci ulżymy, w to nam właśnie graj! Wnet orzeszkom poradzimy, tylko nam je daj!

18.

Zagadka.

Smaczny owoc w twardej łupie: wiewiórka go chętnie chrupie.

19.

Nieostrożna zabawa.

Franek lubił dla zabawy rzucać kamieniami. Ojciec nieraz go upominał:

— Niebezpieczna to zabawa, możesz kogo zranić.

— Ja przecież uważam; rzucam kamieniami tylko w tę stronę, gdzie nikogo nie ma.

Wybiega raz Franek po obiedzie do ogrodu, i buch! buch! kamieniami w parkan. Rzucił jeden za wysoko. Kamień spadł w ogrodzie sąsiada.

W tejże chwili rozlega się tam płacz i krzyk. Struchlał Franek. To głos Anulki, córki sąsiada.

Patrzy przez szczelinę w parkanie, a tu Anulka trzyma się rączkami za głowę, a krew spływa jej po twarzy.

Franek uciekł przerażony. To jego kamień zranił Anulkę.

* 20.

Rozbój.

Rozbój, choć ma miny srogie, lubi z chłopcem iść w zabawy. O, do figłów on jedyny, lecz jest grzeczny i łaskawy.

Jeśli jednak wśród swawoli kamieniami chłopak rzuca, Rozbój szczeka, co ma siły, omal mu nie pęknią płuca.

— To ty rozbój, nie ja rozbój! zda się wołać. — Fe, szkaradnie! Coś takiego prostackiego nawet na myśl psu nie wpadnie!

21.

Kłopoty Hanki.

Hanka ma kilka lalek, między niemi dwie wielkie. Jednej na imię Misia, drugiej Kazia. Mają jasne włosy, niebieskie oczy, są czysto umyte i porządnie ubrane. Ale z mniejszemi to prawdziwy kłopot. Buzia ich i rączki zawsze umazane, a włosy rozwichrzone, niby u stracha na wróble. To jakieś niegrzeczne dzieci. Włazą pod stół i pod stołki. Nie uważają, gdy jedzą. Plamią fartuszki, sukienki, a myć się nie lubią.

Razu jednego Hanka zgniewała się na swoje laleczki.

— Cóżto! woła. — Znowu myć się nie chcecie? Zaraz mi do wody, a nie żałujcie mydła! Pochorujecie się od tego brudu!

Niesie Hanka dużą miskę ciepłej wody i kawałek mydła. Tożto będzie szorowanie! Aż Mruczuś obudził się od głośnych przygotowań. Otworzył szeroko oczy, ruszył wąsami i mruczy:

— Tyle hałasu! No! no! Jak się Hanka rozmacha, to jeszcze do mnie wziąć się gotowa.

Śpij spokojnie, Mruczusiu! Ty przecież codzień zmywasz językiem swoje futerko.

Hanka skończyła mycie. Uczesała i ubrała lalki w świeże sukienki. Posadziła je rzędem na ławeczce i pochwaliła:

— No, teraz ładniejsze jesteście i zdrowo wyglądacie.

*22.

Bańki mydlane.

Ma Zosieńka wolną chwilę, chce się zabawić, by i sobie i kotkowi rozrywkę sprawić! Nabrała wody w miseczkę i mydła nieco. Puszczając będzie śliczne bańki, co w górę lecą. Ot, niewiele z tem kłopotu, mała robota. Wnet pofrunie w górę kula różanozłota. Błyśnie tęczą kolorami przed jej oczyma, zamigota w blaskach słońka i już jej niema.

Lecą bańki za bańkami, śliczne, barwiste. Mieni w nich się szafir, czerwień, złoto przejrzyste. Niby gwiazdka świeci jasno każda banieczka. Aż się śmieje, w rączki klaska nasza dziewczeczka.

Przebudził się bury kotek, patrzy na dziwy. On nie widział takich cudów, od kiedy żywy. Bo to fruwa, jakby ptaszek, lub rój motyli, a gdy jeno dotknąć łapką, zniknie w tej chwili.

23.

Październik.

Nowy miesiąc zastał wieś całą przy pracy.

Ludzie wykopują ziemniaki, sprzątają kapusty, fasole, grochy, biorą się do lnu, do konopi.

Patrzy miesiąc na ową krzątanicę, ale sam ręce założył i ani mu w myśli uczciwa robota.

Chodzi po kraju, wygania ptactwo z gaju. Mgły naprowadza. Pajęczyny srebrzyste na wiatr puszcza i cieszy się wtedy „babiem latem“.

Albo znowu skrada się niepoń w pobliże chat. Tam len międlą właśnie, aż lecą październice. On chwytą październice i tem się bawi.

Markotnie patrzy Jesień-matka na igraszki syna.

— A to październik! wzdycha żałośnie.

Posłyszeli ją ludzie i tak też nazywają odtąd ten miesiąc.

24.

Jak to ze szczygłem było?

Pan Bóg stworzył wiele, wiele ptaków. Gdy rzędem stanęły przed nim, maczał pendzle w miseczkach z farbami i jednemu po drugim malował pióra. Wilgę umalował na żółto i czarno, kanarka całkiem na żółto. Jaskółce nie żałował farby ciemno-granatowej. Gil dostał sporo czerwonych piórek.

Jeden ptak ciśnie się przez drugiego. Każdy chce być pierwszy, każdy chce dostać najładniejsze barwy. Szczygieł tylko skromnie stał na uboczu.

Dopiero gdy odleciały inne ptaki, przybliżył się i on do Pana Boga. A tu wszystkie miseczki już puste! Zrobiło się Panu Bogu żal skromnego ptaszka i tak mówi:

— Pomaluję cię resztkami farb, które zostały na pendzelkach. Źle na tem nie wyjdiesz!

I pomalował mu Pan Bóg kilka piórek na żółto, kilka na biało. Inne pomalował czerwoną farbą, a jeszcze inne czarną i brązową.

Od tego czasu chodzi szczygieł wystrojony, jak żaden inny ptaszek.

* 25.

Wesoły śpiewak.

Wilk, strudzony włóczęgą, spoczywa w cieniu drzewa. Jakiś ptaszek w gałęziach skacze sobie i śpiewa.



— Hej, ty, mały pieśniarzu! wilk poczyną gadanie. — Miło słuchać cię, jakże zwiesz się?

— Szczygieł, mój panie!

— A skąd taka wesołość w twych podskokach, w twym śpiewie?

— Ćwirr, ćwirr! śmieje się ptaszek. — Jakto? Tego pan nie wie? Gniazdo moje bezpieczne, las mnie karmi obficie, krzywd nikomu nie robię. Któż weselsze ma życie?

26.

Dawno, bardzo dawno...

I. Opowiadanie Jagusi.

Jagusia chodzi już drugi rok do szkoły. Nieraz opowiada matce, co w szkole słyszała. Dzisiaj tak zaczęła:

Dawno to działo się, bardzo dawno. Jeszcze wtedy nie było naszej wioski. Nie było także Miłówki ani Dębnika, co to je widać od nas. Wszędzie były tylko lasy i błota. Stare, wielkie drzewa rosły w lasach. Mieszkały tam niedźwiedzie i wilki. Także ludzie mieszkali w lesie, lecz nie w chatach, jak nasz gajowy. Mieszkali w jaskiniach, w jamach, bo chat nie umieli budować. Nie mieli też ubrania takiego, jak my, ale nosili na sobie skóry zwierząt.

Tych ludzi, którzy tak bardzo dawno przed nami żyli, nazywamy naszymi przodkami. Chwyтали oni dzikie zwierzęta w pułapki. Zabijali je także grubemi kołami. Mięso zjadali, a ze skóry robili odzież.

— Dlaczegoż nie zabijali zwierza choćby żelazną siekierą, jak nasza? Byłoby im łatwiej.

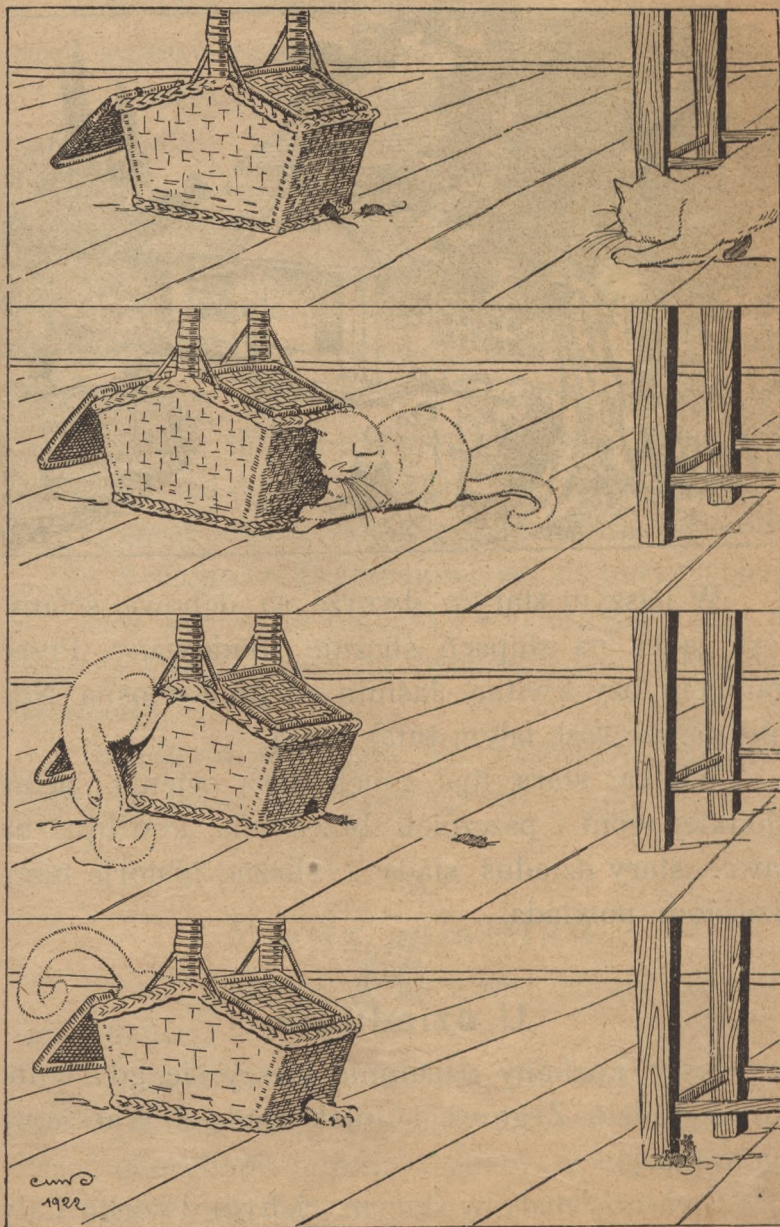
— Ej, matulu, nie było takiej siekiery, jak ta oto. Przodkowie nasi nie mieli żelaza. Z kamienia wyrabiali sobie narzędzia.

27.

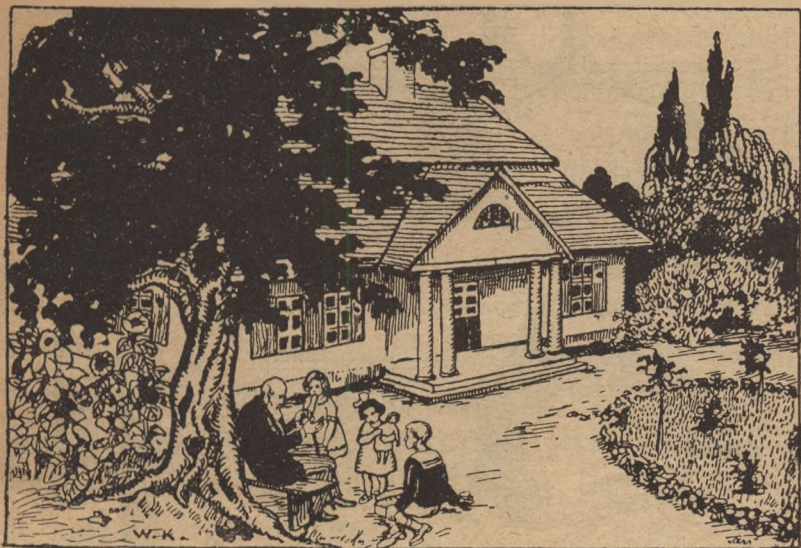
Zagadka.

Drzewo, złączone z żelazem, przedstawia siódmkę razem.

Kto mniejszy, to pewniejszy.



Nasz dworek.



W naszym starym dworze są dębowe ściany, jest ganek na słupach ślicznie zbudowany. Przed gankiem bzy kwitną. Jaśmin pachnie wiosną. Najpiękniejsze róże latem tutaj rosną.

Wielka, stara lipa ganek nasz ocienia, pełna słodkiej woni i pszczołek brzęczenia. Pod lipą, na ławce, stary dziaduś siada i śliczne historie nam, dzieciom, powiada.

U dziadunia.

Siwy, kochany dziadunio cieszy się, gdy wnukowie Tadzio, Zygmus i Julek zjadą z Warszawy na wakacje.

Gwarno wtedy w starym, cichym dworku. Cały dzień biegania po domu i po ogrodzie. Dobry dnia-

dunio kocha swoich chłopaków, nie pozwala jednak na zbytki, a zwłaszcza na psoty.

Gdy który z wnuków co zbroi, dziadunio spoziera surowo z za okularów i prawi:

— Cóżto, smyku jeden, nie wiesz, że tego nie wolno?

Największa bieda w dzień słotny, bo dziadunio bardzo przestrzega schludności. Zygmus zaś najczęściej zapomina się i wpada do pokoju obłocony. Śpieszno mu powiedzieć, co dzieje się na dziedzińcu lub w ogrodzie. A tu dziadunio woła:

— Cóżto, smyku jeden, nie wiesz, że trzeba nogi wytrzeć przed drzwiami? Od czegoż rogówka u progu?

Zygmus staje zawstydzony. Dziadunio zaś mówi:

— Azor, pokaż Zygmusiowi, jak się buty wyciera!

Pies biegnie do rogówki i wyciera jedną łapę po drugiej. Potem wraca na swoje miejsce, pod krzesło dziadunia.

Dziadunio uśmiecha się dobrotliwie i głaska Azora po białej, puszystej sierści.

*31.

Miotły, miotełki!

Miotły, miotełki niosę wam! Miotły, miotełki tanio dam.

Nie narzucam ich nikomu, lecz to rzecz potrzebna w domu. Każdy przecie rad, mieć u siebie ład. Przed chorobami obrona — chata czysto umieciona.

Miotły, miotełki niosę wam! Miotły, miotełki tanio dam!

32.

Zagadka.

Przyszła do nas z gaiku. Mieszka sobie w kąciu. Od rana samego po izbie się krząta. Zagląda codziennie do każdego kąta.

33.

Sroka.

Rodzice Franka trzymali oswojoną srokę. Miała ona sukienkę z czarnych i białych piórek. Skrzezczała, jak wszystkie sroki i skakała, jak one. Fruwała sobie swobodnie po izbie. To usiedzie na piecu, to na szafie, czasem nawet wyskoczy Burkowi na głowę albo na grzbiet. Burek bardzo tego nie lubi i zaraz warczy. Chce chwycić srokę za ogon, ale sroka mądra. Frrr... i już siedzi wysoko na drzwiach. Burek wtedy skacze i szczeka pod drzwiami, a sroka skrzeczy. Chce niby powiedzieć:

— Nie boję się ciebie!

Razu jednego matka Franka szuka naparstka. Szuka go wszędzie i nie może znaleźć. Naparstek zginął. Nazajutrz ojciec zostawił na stole kluczyk od kłódki. Wraca z ogrodu, kluczyka niema.

— Złodziej jaki zakradł się, czy co? mówi ojciec. — Trzeba się mieć na baczności.

— Ten złodziej, to nasza sroka — odpowiedziała matka. — Dziś rano widziałam, jak porwała guzik z otwartego pudełka.

— Prawda! Zapomniałem o niej! Wszak to zwyczaj każdej sroki kraść wszystko, co się błyszczy. Zaraz mi wynieść ją do lasu! Nie będziemy trzymali złodzieja w domu!

34.

Zagadka.

Kiedy zawoła, myślałbyś, że się złości, a ona, jak mówią, zapowiada gości.



* 35.

Chłopczyk ukarany.

Piął się chłopczyk na drzewo, co nad rzeką stało. Cudzych paniczekowi gruszek się zachciało. Ale na takich sprawkach każdy źle wychodzi.

Cudza własność jest święta, tknąć się jej nie godzi.

I nasz chłopczyk to poznał, jednak już po szkodzie. Spadł i gruszek nie dostał i skąpał się w wodzie.

36.

Lepianka.

II. Opowiadanie Jagusi.

— Matulu, chyba przodkowie nasi byli bardzo biedni. Bo jakże inaczej, skoro mieszkali w jamach? Nieraz deszcz zaciekał do środka i śnieg zasypał ich schroniska. A ciasno i ciemno tam być musiało! Sympiali wtedy ludzie na ziemi, na skórach zwierząt.

Latem, to już mniejsza bieda. Ale zimą, to aż strach, jak źle im było:

Któryś z nich patrzy raz uważnie, jak jaskółka lepi gniazdo, i myśli:

— A gdybym ja także ulepił sobie mieszkanie z gliny? Może tam byłoby mi wygodniej.

Zabrał się zaraz z chłopakami do roboty i ulepił małą chatę.

Wnet wyprowadzili się przodkowie nasi z jamy. W lepiance było im weselej. Bardzo cieszyli się swoją chałupiną. Wejście zasłonili ostremi sękaczami, żeby dziki zwierz nie wlaźł w nocy. Dach zrobili z gałęzi. Napracowali się ciężko, ojciec i synowie, ale nie pożałowali tego trudu.

37.

Piosnka o wilczku.



1.

Pójdziemy do lasu,
Raz! dwa! trzy!
Zobaczymy wilczka,
Raz! dwa! trzy!
A ten wilczek szary, bury,
Ma kły ostre i pazury,
Raz! dwa! trzy!
Raz! dwa! trzy!

2.

Pójdziemy do lasu,
Raz! dwa! trzy!
Ułowimy wilczka,
Raz! dwa! trzy!
A ten wilczek szary, bury,
Ma kły ostre i pazury,
Raz! dwa! trzy!
Raz! dwa! trzy!

3.

Pójdziemy do lasu,
Raz! dwa! trzy!
Zabijemy wilczka,
Raz! dwa! trzy!
A ten wilczek jest niecnota,
Zjadł owieczkę koło płota,
Raz! dwa! trzy!
Raz! dwa! trzy!

4.

Pójdziemy do lasu,
Raz! dwa! trzy!
Pochowamy wilczka,
Raz! dwa! trzy!
Naści tobie, mości wilku,
Coś zajączków schrupał kilku,
Raz! dwa! trzy!
Raz! dwa! trzy!

38.

Ucieczka Bazi.

Oj, psotnica to nielada,
Bazia, kózka od sąsiada.

Straszny urwis! Odwróć
oczy, ona — hyc! na beczkę
skoczy. Odejdź, Bazia już na
grzędzie. Cały dzień pełno jej
wszędzie, a choćbyście jak
prosili, nie usiedzi ani chwili.

Owóż raz ta Bazia mała
od swej matki się wyrwała.

Mówi:

— Dobrze mi jest z ma-
mą, tylko, że ciągle to samo! Chciałabym pobujać
w świecie. Dosyć już urosłam przecie!

I pędem, nie tracąc czasu, zmyka — dokąd?
Wprost do lasu.

Otóż to się życie zowie! Co za ziola w tej dą-
browie! A ta cisza! Aż dziw bierze! Nikt nie łaje,
nikt nie gderze.



Wtem... Zadrżała... Tuż, tuż, blisko, jakiś chrzest... Pewnie wilczysko! Schrupie ją z kośćcami!

— Rety! beczy koźlę. — Mamo, gdzie ty?

— Ależ jestem! głos odpowie.

To nie wilk, nie! To w dąbrowie matka córki swojej szuka.

Będzie dla Bazi nauka!

39.

Zagadka.

Znam pewną panią brodatą. Futro nosi nawet w lato. Nosi futro, daje mleko. Któż to? Poszukaj! Znajdziesz niedaleko.

40.

Jędrak o mieście.

1. Domy i kościoły.



Nadszedł dzień Wszystkich Świętych i Zaduszki. Jędrak pojechał na te dwa dni do domu na wieś.

Radował się okrutnie chłopczysko, że znowu swoich uściśnie, Maciusia pogłaska i poswawoli z Brysiem!

Mała Maryś bardzo cieszyła się bratem. Wypytywała go ciągle o to i owo. Zasiadł z nią tedy Jędrus na przepieku i opowiada:

— Miasto, Maryś, jest ogromne! Większe, niż dużo wsi razem. Żebyś ty wiedziała, co tam domów! Każdy zaś inny. Możesz dzień i noc liczyć, a nie doliczysz się. Wszystkie wysokie, jak wieże. Dwa i trzy razy wyższe od naszych chat. Wchodzi się tam po schodach na piętra. Sklepów również moc wielka.

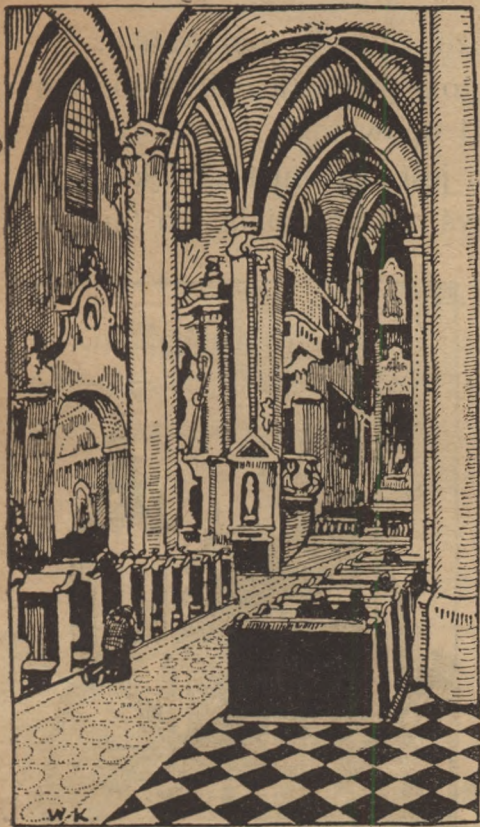
Bywają jednak i w mieście domy niskie, bez piątr. Te są zwykle otoczone ogrodami. Pielęgnuje się tam drzewa owocowe i kwiaty.

Ale najpiękniejsze ze wszystkiego to kościoły.

Główny kościół nazywa się katedrą. Jest on pewnie trzy razy wyższy od naszego kościoła we wsi. W nim sam ksiądz arcybiskup mszę nieraz odprawia. Po bokach wielkiego ołtarza widać kilka



innych. Niektóre w osobnych kaplicach. Ściany są pięknie malowane. A od złocení až blask bije.



Marysia słuŝa opowiadania brata, jak bajki.

— To ci dopiero! szepcze.

* 41.

W kościele.

Pięknie i jasno w dużym kościele. W ślicznych ołtarzach obrazów wiele. Kto wejdzie, klęka, szepcze pacierze.

I my klękniemy! Módlmy się szczerze do Pana Boga, do Matki Boskiej, co ma w opiece miasta i wio-

ski, co z swem Dzieciątkiem w ołtarzu świeci i błogosiawi pobożne dzieci.

42.

Jędrak o mieście.

2. Ulice.

— Oj, Maryś, Maryś, co ty wiesz — mówi Jędrak. — W mieście to nie tak, jak u nas na wsi. U nas na przedwieśniu lub w jesieni, to nieraz

i but zostanie w błocie. A zasypie śnieg drogę, to po uszy w nim zapadasz. Tam, lato czy zima, pogoda czy deszcz, suchą nogą przejdiesz.

A jakże! Nie kiwaj głową! Bo ulice w mieście są brukowane kamieniami, a po bokach wyłożone płytami kamiennymi dla pieszych. W każdej kamienicy jest stróż. On dba o to, by przed domem było czyści. Jak spadnie śnieg, ma go odmieść; jak gołoledź, posypać piaskiem lub popiołem, aby kto nie złamał nogi.

— To ci na ulicach ładnie być musi! A dużo też ich tam?

— Bo ja wiem? Będzie może ze dwieście, trzysta!

— O, dlaboga! To jakże w nich się rozeznąć?

— Bardzo łatwo! Na rogu każdej ulicy zobaczysz tablicę z jej nazwą. Więc ta nazywa się ulicą Kościuszki, tamta Piekarska, tamta Piękna i tak dalej. A nie wiesz, gdzie która, to zapytasz, każdy ci wskaże.

— A jak nikogo nie będzie?

— Oj, Maryś, Maryś! W mieście na ulicach zawsze pełno ludzi!



* 43.

Wiejska droga.

W mieście każda z ulic brukowana cała. Nasza droga we wsi bruku nie widziała.

Na tę wiejską drogę żalą się mieszcuchy, że po deszczu błotna, kurzem dmie w czas suchy, że niedosyć równa, że wyboje na niej...



Pewnie, ma ten słuszość, kto złe drogi gani. Lecz koniki moje ominą wyboje, a prosty wóz chłopski wszystkiemu da radę, a ja tak znam drogę, że na ślepo jadę.

Zresztą niechaj przyjdą dni nowego latka, naprawimy drogę, będzie jak stół gładka.

44.

Kopią i sieją.

III. Opowiadanie Jagusi.

Zasiadł sobie raz jeden z onych dawnych ludzi przed lepianką i myśli:

— Gdyby tak jedno, drugie drzewo zwalić, toby częściej słońko zazierało do nas.

Wzięli obaj z synem siekiery kamienne i dalejże bić w pnie, aż kilka drzew zwalili. Zrobiło się zaraz widniej i weselej.

Kobiety skopały tuż obok lepianki kawał ziemi. Do kopania użyły ciężkich, zakrzywionych kijów, bo — pamiętacie, matulu — przodkowie nasi żelaza nie mieli. Na tym kawałku ziemi kobiety zasadziły sobie roślin z łąk i lasów. Miały teraz przy chacie ogród i cieszyły się nim bardzo.

Miłowały dzieci ojcową chatę. Gdy ją uszkodził wicher lub deszcz ulewny, brali się synowie do naprawy. Dziewczęta kwieciami i gałęziami mały schronisko. Chciały, by w niem było nie tylko do brze, lecz i ładnie.

* 45.

Orka.

— „Hej ha! Hej ha!“ Jasiek woła, koniki poganiania : kraje pługiem ziemię świętą, orząc od świtania. Wrona szara tuż za pługiem bródzą wolno kroczy. Stuku! stuku! bije dziobem, gdy pędraka zoczy.



46.

Zagadka.

Leci w pole czarna pani, a fartuszek szary na niej. A gdzie pługi, a gdzie brona, krok w krok z niemi także ona. Wyszukuje tam pędraki, by je zjadać. Kto to taki?

47.

O planetnikach.

— Nianiu! Opowiedz bajkę, taką śliczną bajkę, jak ty umiesz — prosi mała Hanka.

Piastunka kocha swoją Haneczkę, nie odmówi więc jej prośbie. Bo jakże tu odmówić? Wy-piastowała ją, wykołysała, na rękach swoich nosiła i chodzić uczyła.

Teraz Haneczka podrosła i uczy się już wielu ciekawych rzeczy. Ale gdy wróci ze szkoły, siada koło niani i słucha bajek.

Dziś niania tak zaczęła:

— Dziaduś mojego dziadka opowiadał, że hen, pod niebem, wysoko nad ziemią, są ogromni ludzie, olbrzymi, a czarni jak kominiarze. Nazywają się planetnicy. Kiedy nad ziemią zasnuje się gęsta mgła, oni dalejże nawijać ją na kądziel i prząść z niej długie, długie nici. Z nici tych robią ogromne płachty. Potem spuszcza ją nad stawy, napełniają płachty wodą i ciągną je po niebie. Wtedy na ziemi robi się smutno, szaro, jak dzisiaj. Gdy planetnicy nabiorą za dużo wody do płachty, woda przelewa się i deszczem spada na ziemię.

Tak opowiadał dziaduś mojego dziadka.

48.

Kromka chleba.

1.



2.



3.



4.



с.м.в.
1922

49.

Listopad.

Gdy się już Październik zabrał, nowy miesiąc liście z drzew pootrząsał doreszty. I opadły suche liście, czerwone, brunatne i żółte. A tak nie potrzeba było długo szukać imienia dla nowego miesiąca. Sam siebie w ten sposób nazwał Listopadem.

Smutno mu było.

Ziemię pokryły mgły nieprzejrzone, niebo zasłaniały ciemne chmury. Padał deszcz drobny, rzęsy, to znów ulewny. Wtem raz zaszumiało, zateśniało i wpada święty Marcin¹⁾ na białym koniu. Natychmiast zrobiło się jaśniej, weselej. Śnieg pokrył ziemię, jak białem prześcieradłem. Wiadomo: Od świętego Marcina zima się poczyňa.

Ale nie zaczęła się jeszcze na dobre. Śnieg tał, aż stał; wróciły mgły szare i dni bezsłoneczne.

I znowu posmutniał Listopad. Rozweseliła go dopiero święta Katarzyna²⁾, ta, która adwent zaczyna.

— Nie stękaj, nie stękaj — powiada. — Już adwent, już na roraty ludzie śpieszą. I ty pójdziesz. Niech tylko święty Jędrzej³⁾ przywoła nowy miesiąc.

50.

Sobotni promyk.

Smutno na dworze: wicher huczy, deszcz pada. Jędrus chce biegać po podwórku, ale matka nie pozwala. Szkoda butów, przemokną i obłocą się. Stara, dobra piastunka tak pociesza chłopaka:

¹⁾ 11 listopada. ²⁾ 25 listopada. ³⁾ 30 listopada.

— Poczekaj cierpliwie! Jutro na pewno słońko zaświeci. Jutro sobota!

— Cóż z tego, nianiu?

— Zaraz się dowiesz.

„Raz, gdy Pan Jezus był jeszcze malutki, Matka Boża poprała mu koszulki. Chce je wysuszyć, a tu deszcz leje. Matka Boża w prośby do nieba :

— Panie Boże, ześlij choć promyk słońka! Jutro niedziela. Ty widzisz, że Dzieciątko nie ma czystej koszuliny.

Ledwie się tak pomodliła, a tu się chmury rozsuwają. Jasne słońko przygrzało. Matka Boża rozwiesiła koszuliny i promyk je wysuszył“.

— Odtąd co sobotę słońko choć na chwilę zaświeci. Poczekaj i ty na sobotni promyk. Do jutra niedaleko, pobiegasz sobie po podwórku.

. 51. .

Sąsiad.

IV. Opowiadanie Jagusi.

Idzie raz jeden z naszych pradziadów na łowy w las i spotyka drugiego. Ten gdzieś hen, daleko, w jamie jeszcze mieszkał. Przywitał się z nim i dalej opowiadać, że sobie wystawił lepiankę. A tamten drugi dziwi się i mówi :

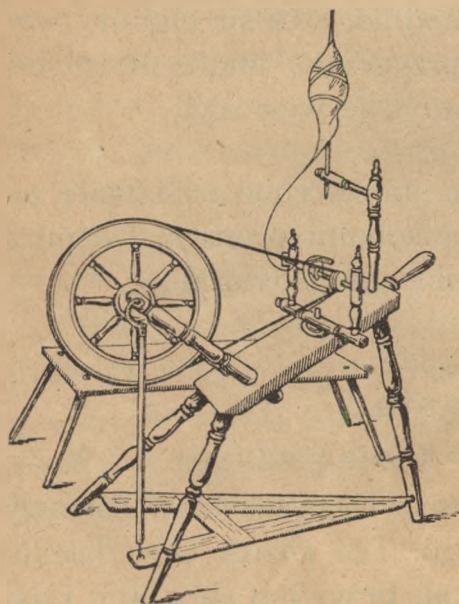
— Pójdę z wami, by zobaczyć, czy to lepiej tak mieszkać, jak wy, czy w jamie.

Poszedł, stanął, ogląda, дума i дума.

— Bardzo mi się podoba ta wasza lepianka — powiada wreszcie. — Muszę sobie też taką zbudo-

wać. Tylko pewnie wszystkiego dobrze nie pamiętam. Będę lepił niedaleko waszej, to mi w niejednem doradzicie.

Ucieszył się ten, co pierwszy postawił lepiankę, że dostał sąsiada. Bo to we dwu łatwiej drzewo powalić i zwierza upolować. A po robocie to i pogwarzyć miło ze sąsiadem. Synowie cieszyli się także. Całą gromadą z chłopakami sąsiada szli w las zbierać chróst na ogień, a kobiety zaczęły razem kręcić nici lniane do szycia odzieży.



* 52.

Przędki.

W cichej chacie, gdy nadejdzie wieczorna godzina, jednostajnie kołowrotek furkotać poczyną.

Snuje, snuje się ta przędza tak, jak ludzkie życie. Tego płótno będzie białe, kto snuł pracowicie.

53.

Pierwszy śnieg.

Zbudziła się Andzia i własnym oczom nie wierzy. Biegnie do okna, a tam wszędzie białło i białło. Krzaki ogrodowe przystroiły się w białe sukienki. W białych, wysokich czapkach stoją słupy parkanu.

Na jednym z nich usiadła teraz wielka wrona. Rozdziawiła dziób i kracze:

— Kra! Kra! Kra! Pierwszy śnieg! Nadeszła zima. Ha! Wrona i to wytrzyma. Jestem roztropna niewiasta. Latem po polach, na zimę do miasta. Mądry zawsze radę sobie da. Kra! Kra!

A gil do szczygła:

— Trr! Trr!

Trr! Ta zawsze

się chwali. Co wrona, to i gil potrafi. Ja zimą ku miastu, jak ku swej parafji. Zcichutka do ogródka, niepostrzeżenie myk, myk! — i jest pożywienie.

— Ćwirr! Ćwirr! szczygieł się ozwie. — Nie chcę uchybiać nikomu, ale szczygieł w ogródku, jak u siebie w domu. Znam tu nawylot każdy krzak. Tak, tak!

Przyłączył się do nich wkońcu wróbel:

— Ćwik! Ćwik! coś wam powiem, tylko — sza przed wroną. (Ta niegodziwa wszystko z przed nosa innym porywa.) Spójrzcie ino. Przed oknem deszczułka. Widzicie, co tam okruszyn? Otóż to mi życie! A to jedna dziewczynka, co Andzię się zowie, tak o nas pamięta. Daj jej Boże zdrowie!



54.

Zagadka.

Lubią chwytać mnie dziateczki, bo mam zwykłe kształt gwiazdeczki. Zawsze biały, zimny bywam, ale w cieple się rozplywam.

55.

Grudzień.

Zostawił Listopad ziemię w niebardzo ładnym porządku. Następny miesiąc aż za głowę chwycił się przy wejściu. W lesie pełno opadłych liści, na polach mokradła, po drogach błoto, że utopić się można.

A tu przecie Pan Jezus ma zstąpić na świat!

Raźnie zabrał się nowy miesiąc do roboty. Nasamprzód zaprosił sobie mroźny wiatr z północy. Ten ledwie dmuchnął, wody schowały się pod lód. Gdzie zaś było błoto, potworzyły się grudy. Grudzień ziemię grudzi, a izdebki studzi.

Poczem pościągał chmury śniegowe. Wnet zrobiło się na ziemi bieluśko i czysto, jak na świeżo nakrytym stole.

— Porzuć wóz, a zaprząż sanie! woła święty Mikołaj¹⁾.

Nie ustawał Grudzień w pracy. Nawet szyby chat przystroił odświeżnie. Mróz układał na nich piękne liście i kwiaty.

To też, gdy zawitał wieczór wigilijny, Grudzień zewsząd zbierał pochwały. Przenajświętsze Dzieciatko wyciągnęło doń radośnie rączki. Matka Boska podziękowała mu uśmiechem. A święty Józef aż pogłaskał się po brodzie z wielkiego zadowolenia.

¹⁾ 6 grudnia.

* 56.

Zmarzlak.

A widzicie wy zmarzlaka, jak się to on gniewa?
W ręce chucha, pod nos dmucha, piosenek nie
śpiewa.

A czy nie wiesz, miły bracie, jaka na to rada, gdy
mróz ściśnie, wichur świśnie, śnieg na ziemię pada?

Oj, nie w ręce wtedy chuchaj, lecz serce zagrzej.
Stań do pracy, jak junacy i piosenki śpiewaj!

* 57.

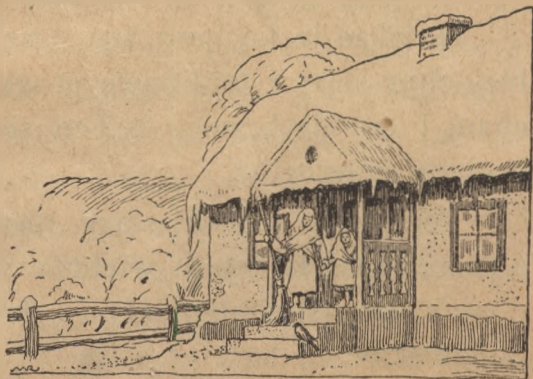
Na mrozie.

— A!... dzieńdobry, panie Gilu! Jak się mają
dzieci? Czy pan Gil tu śpie-
wać przyszedł, czy zamiatać
śmieci?



Pan Gil piękny ma to-
łubek, czerwony aż miło! I nas
mama otuliła, żeby ciepło
było.

To jest moja siostra Ba-
sia, a ja Małgorzatka, a to nasza stara miotła, a to
nasza chatka.
Chatka musi
być chędogą,
nie zasuta
śmieciem. No!
...frrru teraz,
panie Gilu, bo
miotłą wymie-
ciem.



Chata z drzewa.

V. Opowiadanie Jagusi.

Siedzą raz ci dawni ludzie pod swojemi lepiankami i dumają. Może lepiej budować chaty z drzewa? Jaskółka malutkie gniazdo lepi. Bocian układa wielkie gniazdo z chróstu. A my co?

Dumali, dumali długo, aż wzięli się do roboty. Wystawili chatę z drzewa. Szczeliny pozatykali gliną i cieszyli się swoją pracą. Jeden uczył drugiego, a sąsiad stawiał chatę obok chaty sąsiada.

Każda gospodyni miała swój ogród warzywny, jak u nas. Chłopcy ogrodzili wszystko płotem, żeby dziki zwierz nie zniszczył pracy ojców. Dziewczęta nasiały na grządkach przed chatami różnego kwiecia.

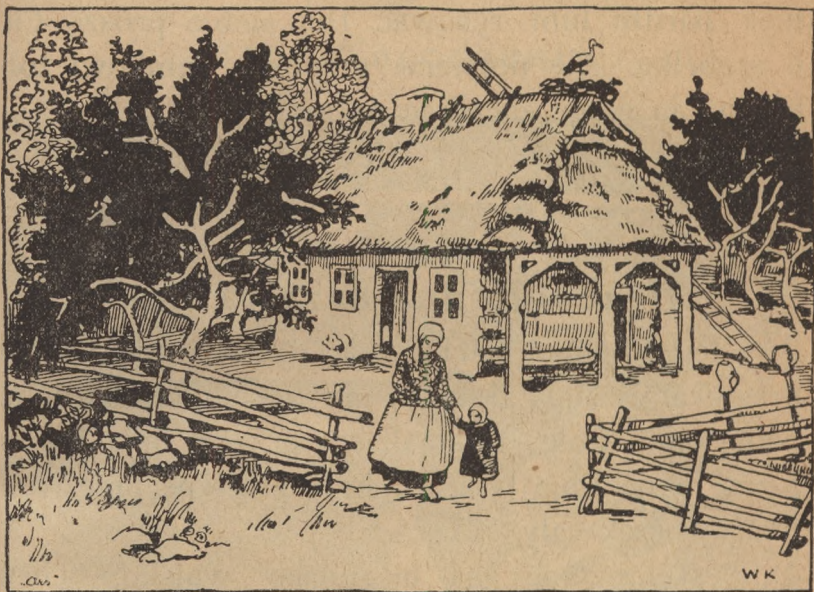
Szanowały dzieci i kochały tę chatę i te grzędy ojców, bo to była ich ojcowizna.

*59.

Nasz domek.

O, jakże ja kocham ten nasz domek drogi, te bieluchne ściany, te lipowe progi! O, jakże ja kocham i ten dach pochyły, co się na nim wiosną bociany gnieździły.

Ten nasz domek stary nie od dzisiaj stoi, a przecież się burzy ni wichrów nie boi! Ten nasz domek stary (słyszałem od taty) dziad naszego dziada budował przed laty.



Belki grube z dębu, modrzewiowe ściany, a dach rozłożysty słomą poszywany. Świeci nasza strzecha, jakby szczerem złotem, a dokoła sady obwiedzione płotem.

60.

List Franka do Aniołka.

Kochany Aniołku!

Mój kolega Tomek jest bardzo biedny. Ojciec jego nie żyje. Matka zarabia praniem. A Tomek jest kulawy. Nie może z nami biegać ani gonić się na przerwach w szkole. Żal mi Tomka, bo on smutny. Daję mu czasem jabłko i dzielę się z nim śniadaniem. Ale Tomek jest zawsze smutny.

Gdyby miał zabawki, może byłby weselszy. Proszę Cię, Aniołku, przynieś mu na gwiazdkę pudełko żołnierzy. Ja mu dam kolorowe ołówki. To-

mek bardzo lubi rysować. Dla siebie proszę Cię o szabelkę. Ale najpierw przynieś Tomkowi żołnierzy. Ja mogę zaczekać na szabelkę.

Twój kochający

Franek.

*61.

Drzewko nad drzewkami.

Hej! Choinka niechaj żyje, drzewko piękne nad drzewkami! Mały Jezus ją przynosi z prześlicznymi podarkami. Czego tylko dzieci pragną, daje im to Jezus mały. Daje tym, co były grzeczne przez miniony roczek cały.

Jest kaszlanek na biegunach, wojsko, bęben dla chłopczyka; dla dziewczynki książka, kuchnia, lalka, co oczy zamyka. Z wesołymi okrzykami wkoło drzewka krążą dzieci. A choinka słucha, patrzy i szczęśliwa świeci, świeci...

62.

W żłobie leży...

W żłobie leży, któż pobieży kołędować małemu Jezusowi Chrystusowi, dziś nam narodzonemu;
Pastuszkowie przybywajcie,
Jemu wdzięcznie przygrywajcie,
Jako Panu naszemu.

My zaś sami z piosneczkami za wami pośpieszymy,
A tak Tego maleńkiego niech wszyscy zobaczymy,
Jak ubogo narodzony,
Płacze w stajni położony,
Więc Go dziś ucieszymy.

Boże Narodzenie.



Cyt, cyt, cyt, niech zaśnie małe Dzieciątko.
Patrz, jakto śpi, niby małe kurczątko.
Lulajże, Jezuniu, lulajże, lulaj,
A Ty Go, Matulu, w płaczu utulaj!



Ktoby dał Ci, Jezusiczku...

Ktoby dał Ci, Jezusiczku, ziębnać w stajni w żłobie? Chata nasza Cię zaprasza, spocznijże w niej sobie.

Na przypiecku, obok kotki, kocięta niemrawe, Burek smolas do kur polazł, będziesz miał zabawę.

Kołyseczka jesionowa do kąta się tuli, Kachna Ciebie ukolebie: Luli, Jezu, luli.

Życzenia noworoczne.

Wiadomo, kiedy rok stary nowemu miejsca ustępuje, to o samej północy — dziw nad dziwami — zwierzęta przez kwadrans odzywają się głosami, słowami, jakby to byli ludzie.

Ot, właśnie północ noworoczna. Wysunął się ze swej budy kundel, słomę z kudłów otrząsa, po śniegu z uciechy płąsa, a potem do stajni.

— Pani Krasulo! woła. — Przychodzę nowego roku powinszować, życzeniami najlepszymi ucęstować, bom twój przyjaciel. Niechże ci w tym nowym roku jak najwięcej kości z kuchni podają. Niech ci się najczęściej pod zęby nawinie — tak, aby nikt nie zobaczył — tu kurczę, co ani piśnie, tam kaczę, co nie zakwacze, ówdzie gąska utuczona.

— Mój Brysiu! krowa odrzeczce. — Serdecznie tobie dziękuję i wzajem życzeniami częstuję. Niech w tym nowym roku nie skąpią ci siana ni plewy. A z wiosną niech darmo czasu nie trwonią, tylko

czem prędeż ciebie pogonią na łąki kwieciste, na trawy soczyste, abyś się napasł dosyła.

Kundel nie mógł już usiedzieć. Chciał jej coś odpowiedzieć. Ale czas dziwów upłynął, psisko ogon pod siebie podwinął i zawył tylko przeciągle: Huu! Huu!

66.

Zagadka.

Chociaż jej rogi i postawa wielka, łagodne zwykle miewa obyczaje. Niewiele ryczy, wiele mleka daje: jakże nazywa się ta karmicielka?

67.

Styczeń.

Zebrały się miesiące i gawędzą. Tylko styczeń dumnie na boku zasiadł i milczy.

Pytają, czemu tak nos zadziera.

— Albo nie mam przyczyny? odpowiada. — Wobec mnie rok stary styka się z nowym i stąd moje imię. Ledwie się pokażę, wszyscy składają sobie życzenia. Bo miesiąc styczeń — czas do życzeń.

Ja zresztą jestem pierwszy w roku, ja wódz wasz. Z byle kim też się nie wdaję. Pod moim dachem goszczą Trzej Królowie¹⁾. Wszystkie kożuchy wylażą wtedy ze skrzyni: około Trzech Króli każdy w kożuch się tuli.

Śnieg i mróz, to moi słudzy. Śnieg ubiela mi ziemię, iż nieraz żadnej plamy nie dostrzeżesz na niej. Mróz oczyszcza niebo z chmur. A gdy za-

¹⁾ 6 stycznia.

świeci słońce w dzień taki, lub wyiskrzą się gwiazdy w nocy, — czy kto widział co piękniejszego na świecie?

— To prawda — rzecze któryś z braci. — Potężny i piękny jesteś, Styczniu. Jednak masz serce z lodu. Dlatego w miesiącu styku — biedy bezliku.

* 68.

Gwiazda Trzechkrólowa.



Gdzie zajdziemy, to zajdziemy, witają nas wszędy; ludzie radzi tej czeladzi, co śpiewa kołędy! Idziem sobie polem, drogą, w każdej chacie nas wspomogą. A przed nami idzie zorza, a nad nami jasność Boża, Gwiazda Trzechkrólowa.

69.

Rzemieślnicy.

VI. Opowiadanie Jagusi.

— Bardzo dobrze zrobili nasi praojcowie, że zaczęli budować chaty jedną obok drugiej. A wiecie, matulu, dlaczego? Bo przedtem musiał każdy sam wszystko robić.

A przecież jeden człowiek wszystkiego zrobić nie potrafi. Ten dobrze plecie łapcie, tamten do kożucha zręczniejszy.

Zeszli się raz sąsiedzi, a jeden zaczyna:

— Sami mówicie, że moje garnki są dobre. Wy znowu ładnie pleciecie łapcie. Zróbcie kilka par i pomieniamy się. Ja wam dam garnków, wy mi dacie łapcie.

A inny się odzywa:

— Ja wam koszyków uplotę i zamieniamy się.

I tak zrobili. Podzielili się robotą. Kupowali jeden od drugiego, ale nie płacili pieniędzmi, bo ich nie mieli jeszcze. Płacili albo solą, albo garnkami. Pieniądze wymyślili dopiero później.

70.

Palce.

Posprzeczały się z sobą palce o to, który wart najwięcej.

— Ba! rzekł dumnie kciuk. — Wystarczy popatrzeć, by przyznać, że'm najsilniejszy, że'm król wasz!

A na to palec wskazujący:

— Za pozwoleniem! Kto wykonuje najtrudniejsze roboty, jeśli nie ja? Mnie zatem należy się pierwszeństwo.

Palcu środkowemu było to bardzo niewsmak.

— Wszak miejsce moje pośrodku, jak miejsce króla między dworzanami. Zresztą jestem najdłuższy. Skąd więc wam mierzyć się ze mną?

Palec serdeczny powiada na to:

— Niemądre doprawdy gadanie! Mnie człowiek ozdabia pierścieniami, widocznie więc ja najwięcej wart jestem.

Mały palec, słysząc, jak przechwalają się jego towarzysze, milczał skromnie. Tedy oni do niego:

— A cóż ty, malcze? Sam czujesz, jak marnie przy nas wyglądasz!

On odrzekł:

— Stworzył mnie ten sam Pan Bóg. co i was. Jemu najlepiej wiadomo, dlaczego istnieję. I ja spełniam to, co do mnie należy. Dlaczego więc mnie wyśmiewacie?

Dumni towarzysze umilkli zawstydzeni. Dopiero po chwili któryś z nich przyznał:

— Masz słuszność! Takiś dobry, jak każdy z nas!

*71.

Język i uszy.

Czy wiesz, dlaczego jeden masz język. dwoje zaś uszu ci się dostało?

Byś pilnie słuchał, co inni mówią, a sam odzywał się mało.

72.

Czy znasz...?

Czy znasz głowę (być może też i główka mała), która na karku nigdy nie siedziała?

Czy znasz szyję (lub szyjkę), co nie dźwiga głowy?

Czy znasz oko (lub oczko), co wcale nie patrzy?

Czy znasz ucho (lub uszko), co wcale nie słyszy? •

Czy znasz zęby, nie nato stworzone, by gryzły?

Czy znasz rączkę, na której ani śladu palców?

Czy znasz nogę, co ruchu wszelkiego unika?

Czy znasz pióro, co w ptaku nigdy nie siedziało?

73.

Pierwszy sołtys.

VII. Opowiadanie Jagusi.

Sunie słońko po niebie i widzi, jak nasi przodkowie pracują. Raduje się tem wielce, że ludziom nie schodzi czas na próżnowaniu. Bo gdzie praca tam i zgoda. A jeśli się żyje w zgodzie, to i bieda nie dobodzie.

Ale raz patrzy słońko z jasnego nieba, a tu nasi praojcowie sprzeczą się. Jeden sąsiad gniewa się na drugiego. Tamten upłótl mu liche łapcie. Prędko się zdarły, a on mu drogo zapłacił. Kłóć się więc obaj o te łapcie. O mało się nie pobiją.

Powychodzili sąsiedzi ze swoich chat i słuchają tej sprzeczki. Nareszcie jeden powiada:

— Idźcie do najstarszego we wsi, do tego, co najpierwszy chatę zbudował. On waszą sprawę załagodzi.

I dziaduś ich pogodził. Tak się tem wszyscy ucieszyli, że poprosili starego, aby rządził i opiekował się całą wsią. Przyrzekli, że go słuchać będą, bo on jest mądry i dobry.

Odtąd najstarszy gazda rządził we wsi tak, jak u nas sołtys lub wójt.

*74.

Zła zima.

Hu! Hu! Ha! Nasza zima zła!

Szczypie w nosy, szczypie w uszy, mroźnym śniegiem w oczy prószy, wichrem w polu gna. Nasza zima zła!

Hu! Hu! Ha! Nasza zima zła!

Płachta na niej długa, biała, w ręku gałąź oszroniała, a na plecach drwa... Nasza zima zła!

Hu! Hu! Ha! Nasza zima zła!

A my jej się nie boimy. Dalej śnieżkiem w plecy zimy, niech pamiętkę ma nasza zima zła!

*75.

Jaś Sowizdrzał.

Nito ładny, nito brzydki, Jaś Sowizdrzał istna psota! Płatał figle, robił zbytki, ale serce miał ze złota.

Czyto zimą, czyto latem, czy żar piecze, śnieg się bieli, Jaś Sowizdrzał błdzi światem wszędzie, gdzie go nie posieli.

To głodnego zabrał kotka, co już chodzić nie miał mocy, to psa weźmie, gdy go spotka zbłąkanego w ciemnej nocy.

Da im zaraz przytulisko w swej chałupce, u kominka. Karmi, poi, a matczyisko taka rada z serca synka!

*76.

Wrona.

Idzie pani wrona po zamarzłym śniegu. Spotyka ją sroka nad rzeką, przy brzegu.

— Dzieńdobry! Dzieńdobry! skrzecząc, sroka powie. — A co tam nowego? A jakże tam zdrowie?

Wrona zaś powiada:

— O, pani kochana! Wielkie mam zmartwienie od samego rana, bo moja maleńka Wronusia jest chora. Zachrypła, gorączka, idę po doktora.

— Trzeba gardło płókać. U mnie dziatki zdrowe. Do figlów, do krzyków to zawsze gotowe.

.....

Wraca pani wrona z doktorem do domu, a Wronusi niema, niema radzić komu. Swawolne wroniątko z gniazda wyleciało i zachrypłym głosem na dachu krakało.

Zmartwiła się wrona. Łapki załamuje. Niegrzeczną Wronusię do gniazda zwołuje.

Nie pomogły rady ni leki doktora. Zaziębioną panna jeszcze gorzej chora. Kaszle, chrypi bardzo, bardzo zmizerniała.

A czemużto mamy swojej nie słuchała?

*77.

Ślizgawka.

Równy, równy, jak po stole, na łyżewkach wdał... Choć wyskoczy guz na czole, nie będzie mi żal! Guza nabicić — strach nieduży. Nie stanie się nic. A gdy chłopiec zawsze tchórzy. powiedzą, że fryc!



Jak powiedzą, tak powiedzą. Pójdzie nazwa w świat. Niech za piecem tchórze siedzą, a ja jestem chwał!

Pocieszycielka.

Na lód wybrali się chłopcy. Korzystają z pory. Tylko Franka wśród nich niema. Został w domu, chory.

Przydreptała Maryś mała i siada przy bracie.

— Nie płacz — prosi. — Tam mróz, wicher. Najlepiej dziś w chacie.

I po twarzy głaszcząc chłopca, pociesza go dziecię:

— Jeszcze pójdziesz na lód, Franku, razem ze mną, w lecie!

Jeleń.

Trzej strzelcy wybrali się na jelenia. Usiedli w lesie pod krzakiem, lecz zamiast czatować, pozasypiali.

Po pewnym czasie budzą się.

Mówi pierwszy:

— Śniło mi się, że ledwie tu doszedłem, wyskoczył jeleń i — całap, całap! — pędzi prosto na mnie.

Mówi drugi:

— A mnie śniło się, że zmierzyłem do niego i — pif-paf! — ugodziłem go kulą prosto między oczy.

Mówi trzeci:

— Mnie znowu śniło się, że ustrzelony jeleń padł mi pod nogi, a ja przytknąłem trąbkę do ust

i — tra-ra! — dałem wam
znać o tem.

Gdy tak gawędzą sobie
w najlepsze, posłyszeli szelest.

— Jeleń! jeleń!

Zanim jednak strzelcy
mieli czas powstać i zmierzyć
do niego, już zwierzę — szast-
prast! — znikło w gęstwinie.



80.

Zajaczek.

(Piosnka).

Nasz zajaczek w boru spał,
Aż tu z hukiem wypadł strzał!
Pif, paf! Pif, paf!
Aż tu z hukiem wypadł strzał!



Nasz zajaczek cały drży,
A tu w boru gonią psy.
Ham, ham! Ham, ham!
A tu w boru gonią psy!
Źle zajączku z tobą, źle!
Do pogrzebu szykuj się.
Bim, bam! Bim, bam!
Do pogrzebu szykuj się!

Jeszcze mi ten miły świat,
Jeszcze sobie pożyć rad...
Myk, smyk! Myk, smyk!
I zgubiły pieski ślad.

Święta.

W taki mroźny wieczór stycznia, gdy na dworze zawierucha, dziadek prawi dziatwie bajki. Jakże mile się ich słucha!

Dzisiaj, zamiast w kole dziatwy, siadł do stołu dziadzio stary. Dobył książki i z powagą na nos włożył okulary. Chrząknął, siwy włos przygładził, wreszcie rzecze temi słowy:

— Patrzcie, dzieci, co dostałem: mam kalendarz na rok nowy. A kalendarz nie zabawka. Kalendarz wie bardzo wiele. Wszystkie roku dni wylicza, zwyczajne, jak i niedziele.

Nie mniej też i dni świąteczne doskonale on pamięta. Nikt lepiej ci nie wykaże, kiedy, jakie będą święta. Wszystko to jak najdokładniej w kalendarzu wyznaczone. Kiedyż, spójrzmy, moje dziatki, zastawią nam tu święcone? Bo Wielkanoc swój czas zmienia, ona nie ma pory stałej: czasem w chłodzie i na lodzie, czasem prawie że w upały.

Za nią wślad następne święta idą, jak pod matki wodzą. Tak więc w pięćdziesiąt dni później Zielone Świątki przychodzą. Po dalszych zaś dniach dziesięciu z uroczystością wspaniałą obchodzi się w całym świecie nowe święto: Boże Ciało.

— Boże Ciało? przerwie Janek. — A cóż Boże Narodzenie? Za żadne święto, dziaduniu, wilji z drzewkiem nie zamienię.

— Poczekasz roczek bezmała — prawią kalendarza karty — nim przywiedzie znów aniołka grudnia dzień dwudziesty czwarty.

Płótno.

Pawłowa była bardzo biedna po śmierci męża. O zarobek trudno, a żyć trzeba.

Rankiem siedzi raz w izbie, rozmyślając nad smutną swą dolą. Wtem wchodzi żebrak, bez koszuli, w łaćmanach, wychudzony, i prosi o łyżkę strawy.

Na szczęście znalazło się kilka jaj od jedynej kury. Pawłowa gromadziła jaja na sprzedaż. Usmażyła z nich żebrakowi jajecznicę i dała mu kęs chleba. Pożywiła go niezgorzej.

Pokłoniwszy się pięknie, ruszył ubogi w drogę. Zaledwie jednak uszedł kilkadziesiąt kroków, usłyszał, że ktoś biegnie za nim. Ogląda się, a to Pawłowa.

— Przypomniałam sobie, że mam w skrzyni nieco płótna. Odcięłam kawałek, może przyda się wam na koszulę.

— Krajcież, gospodyni, płótno i przymierzajcie aż do zachodu słońca! dziękował ubogi.

Wróciła kobieta do domu i zaraz zabrała się do krajania. Kraje i kraje, mierzy i mierzy — a płótno się nie kończy. Kiedy słońce skryło się za lasem, cała izba była zapełniona płótnem.

Ze sprzedaży tego płótna uzbierała Pawłowa tyle pieniędzy, że kupiła dwie krowy i zagospodarowała się na dobre.

A z dostatków jej korzystali biedni. Znana była odtąd w całej okolicy, jako ich opiekunka.

Żebrakiem był przebrany Piotr święty.

Miłosierdzie.

— Gdybym ja miał, jak ten bogacz, bezliku pieniędzy, niejednemu dopomógłbym wydostać się z nędzy. Gdybym ja miał, jak ten bogacz, pieniędzy bezliku, czegożbym nie zrobił...!

— Wybacz, przerwę ci, chłopczyku. Nie masz skarbów, nie masz kroci, bo skąd wziąłbyś krocie? Ale pewnie masz w kieszeni grosik na łakocie?

— Ano... pewnie.

— Tedy słuchaj. Niech cię nie porywa chęć do rzeczy niemożliwych. Zrób, co rzecz możliwa. Prawda, trudno byle groszem wszystkim biednym stworzyć raj. Lecz gdy nim łzę jedną otrzesz, już to wiele... A więc — daj!

Groch.

Raz gospodyni wieczorem kądziel nabok odkłada, przy gospodarzu zasiada i tak powiada:

— Idźno do izby i spojrzyj, co za grymasy nie na te czasy, wyprawia nasz parobek.

Idzie gospodarz i patrzy. Walek siedzi zachmurzony, zasępiony nad misą grochu, — nibyto je, a niby nie je, łyżkę odwrócił grzbietem do góry i ledwieże ją w misie umoczy, a ciągle się boczy.

— Takiś ty! zgniewał się gospodarz. — Darów Bożych nie umiesz poszanować, groch w zęby cię kłuje? Idźże mi w tej chwili, idź, gdzie cię lepiej będą żywili, samą szperką karmili.

I musiał parobek odejść.

A tak się jakoś złożyło, że nigdzie służby nie było. Na komornem siadł, suchy chleb jadł, ale potem i suchego chleba zabrakło.

Idzie więc do dawnego gospodarza, kłania się mu pięknie, prawie że nie uklęknie i prosi, by go czem wspomógł.

— Cóż? gospodarz powie. — Chyba grochu dam ci.

— Ino dawajcie, ino nie odmawiajcie.

— Dobrze. Wziąć ci wolno grochu, lecz tylko tyle, co nabierzesz łyżką naodwrot, tak, jak u mnie jadałeś, kiedy wbród wszystkiego miałeś, a jeszcze narzekałeś.

Walek łyżkę bierze, odwraca, nabrać grochu próbuje, a groch wciąż się zsypuje, do wora drogi nie znajduje.

Męczy się nieborak kwadrans; pół godziny, godzinę, coraz smutniejszą ma minę, aż wkońcu łyzy mu z oczu płynąć zaczynają i na groch spadają, same, jak groch duże.

— O, gospodarzu, gospodarzu — wzdycha — już mi, widzę, koniec na świecie, jak się nie ulitujecie i napowrót mnie nie przyjmiecie.

Ulitował się gospodarz, a Walek zapamiętał sobie dobrze biedę. Jeśli groch kiedy podano, już łyżki nie odwracał, nie chmurzył się, oczu nie zawracał, jeno jadł, aż mu się uszy trzęsły.

S s s!

— Hanuś! Przynieśno żwawo drzewa, bo wygaśnie mi ogień pod kuchnią!

Hanusia ruszyła ku drzwiom. Stąpa zwolna, gdyż boi się wieczorem iść do piwnicy.

Ostrożnie zeszła po schodach. Aby sobie dodać odwagi, zaczęła nucić jakąś piosnkę. Szybko ułożyła naręcze dREW i ruszyła zpowrotem.

Nagle — co to?

Coś pocichu syczy za nią: sss! sss! Przerażona okropnie, przystanęła Hanusia i patrzy, rychło też pokaże się strach jaki, za gardło ją chwyci i udusi. Ale nic się nie zjawia i nic nie syczy... Ledwie jednak Hanusia krok zrobi, zaraz odzywa się owo: sss! sss! Bez tchu pędzi dziewczyna po schodach i wpada do izby.

— A z tobą co się dzieje? Jak ty wyglądasz? pyta matka, zaniepokojona jej widokiem.

— Coś tam szło za mną — odpowiada Hania, dygocząc całą.

Postępuje z drzewem w stronę kuchni, a tu znowu: sss! sss!

Z przerażeniem ogląda się za siebie. Czyżby strach aż tutaj ją ścigał? Ale znów nic nie widzi.

Dopiero, gdy jeszcze krok postąpiła naprzód, spostrzegła, że za bucikiem wlecze się uczipione źdźbło słomy z pustym kłosem u końca.

To owa słoma takiego strachu napędziła Hanusi!

Rycerz.

Jestem sobie rycerz wielki od chorągwi, od szabli, chociaż twierdzi siostra, Genia, że rycerzem od jedzenia.

Właśnie wracam z wielkiej wojny. Wszak widzicie, jakem zbrojny! Moc pobiliem już żołnierzy, nikt mi nawet nie uwierzy!

Teraz się posilić trzeba. Dała siostra kromkę chleba i zdaleka na mnie mruga: Tam, rycerzu, leży druga.

Ej, niech tylko podjem sobie, z całem wojskiem wnet ład zrobię. Przekona się siostra, Genia, czym ja rycerz od jedzenia!



Luty.

Groźnie wyglądał nowy miesiąc, który przyszedł po Styczniu. Kto tylko nań spojrzał, mówi:

— O, jaki on srogi, zajadły, jaki on luty.

Dumny był z siebie, że ludziom strachu napędził. Coraz silniejszym mrozem ziemię smalił, a ludziska coraz więcej wyrzekali.

Sprzyskrzyło się to wreszcie Lutemu:

— Za co oni mnie tak wyzywają? myśli. — Mróz i śniegi wzięłem przecież w dziedzictwie po moim

bracie. Ale muszę ich udobruchać, aby mi dali uczciwe jakieś imię.

Każe mrozowi schować się za górami. Wory ze śniegiem zawiązuje. Wiatrom od zachodu otwiera bramę.

Zaraz nastąpi odwilż, śniegi schodzą, deszcz siecze. Jaki taki twarz od wiatru zasłania, po kolana brodzi w błocie i wydziwiał:

— A to ci luty!

Strapił się miesiąc. I tak źle — i tak niedobrze. Narzekają, gdy mroźno, a gdy się ociepli, znów narzekają.

Miał już tego dosyć. Zanim dosłużył końca, uciekł.

Dlatego Luty krótszy jest od Stycznia o trzy,[•] a przynajmniej o dwa dni.

88.

Na Gromniczną.

Podobało się zrazu Lutemu, że tak wszyscy przed nim strach mają, buty słomą wypychają, w kożuchy się otulają, ręce z zimna zacierają.

Zasypał ziemię śniegiem. Na Gromniczną¹⁾ mrozem ją ścisnął, aż zaskrzypiała buda niedźwiedzia w lesie.

Miś zbudzony, rozespany, z legowiska się zrywa, spoziera i budę rozwał.

— Już nie na długo mi jej trzeba — mruczy. — Nadymaj się, wichuro, nadymaj, a ty mrozie trzy-

¹⁾ 2 lutego.

maj, trzymaj! Bo wyprosiła to dzisiejsza Matka Boska, że im silniej teraz ciśniesz, tem prędzej, niebożę, prysniesz, tem prędzej będzie wiosna.

* 89.

W mojej wiosce.

Na „Gromniczną“, na Maryją, w mojej wiosce dzwony biją. W mojej wiosce płoną woski przed obrazem Częstochowskiej. Płyną pieśni — pieśni śliczne, ponad lasy okoliczne! Z kościelnego dzwoni wewnątrz: Panienczko Przenajświętsza!

Na „Gromniczną“, na Maryją, idą ludzie z procesyją... Cała wioska! Swoi sami połyskują gromnicami...

90.

Nieprzyjaciele.

IX. Opowiadanie Jagusi.

Słońko zabiera się już do spania. Ptaszki chowają się do gniazd. Jeszcze ten i ów cichutko zaćwierka i zasypia. Gospodarze wracają z pola, ale nie idą do chat. Zbierają się na łące pod lasem. Najstarszy zwołał ich na ważną naradę.

— Słuchajcie! mówi. — Ziemia nasza, te bogate pola spodobały się naszym sąsiadom, Niemcom. Chcą oni sobie zabrać nasze łąny i nasze chaty. Wróg ten mieszka hen daleko, w tej stronie, gdzie słońko zachodzi. Stamtąd on do nas idzie.

— Nie damy ziemi! wołają kmiecie.

— Będę bronił ojcowizny, bo mi tak ojciec przykazał.

— I ja! I ja! krzyczą wszyscy.

— Pójdziemy gromadą! Nie puścimy nieprzyjaciół na polską ziemię. Tutaj ojcowie zasiali nam pola i tutaj nam chaty pobudowali. Tu nasza Ojczyzna umiłowana! Nie damy jej nikomu!

* 91.

Ojczyzna twa.

Ojczyzna twa, dziecino, to cały ten kraj, te lasy i pola, ten ogród i gaj i strumień, co srebrnie pod słońca blask drga. To wszystko, to wszystko — Ojczyzna twa!

Ojczyzna twa, dziecko, to rzędy tych chat, gdzie mieszka kміeć szczery, rodzony twój brat, i kwiatów tysiące i płaszał tych ćma. To wszystko, to wszystko — Ojczyzna twa!

92.

Co to są krasnoludki?

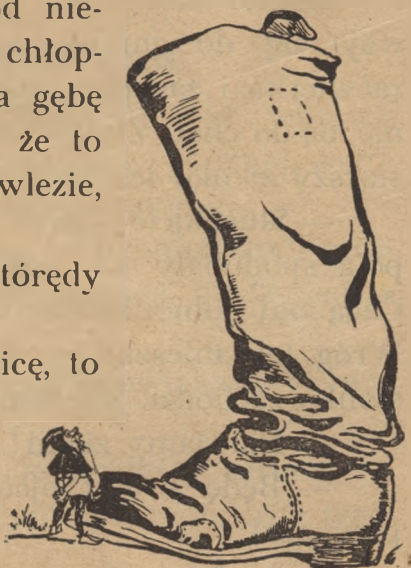
Krasnoludki to naród nieduży. Jak krasnoludek but chłopski obaczy, staje, otwiera gębę i dziwuje się, bo myśli, że to wieża. A jak w kojec wlezie, pyta:

— Co to za miasto? Którędy tu do rogatek?

A wpadnie w szklanice, to wrzeszczy:

— Rety! bo się w studni topię!

Taki to drobiazg!



Ale nosy mają ogromne. Kiedy kichają, to aż się ziemia trzęsie.

Chłop, co po drwa do boru jedzie, gdy usłyszy owo kichanie, mówi:

— Oho, grzmi! Skręciła zima karku! Myśli pocziwiec, że to grzmot wiosenny.

★

Czy to bajka, czy nie bajka, myślcie sobie, jak tam chcecie. A ja przecież wam powiadam: krasnoludki są na świecie! Naród wielce osobliwy: drobny — niby ziarnka w bani¹⁾. Jeśli które z was nie wierzy, niech zapyta starej niani. W górach, w jamach, pod kamykiem, na zapiecku czy w komorze siedzą sobie krasnoludki w byle jakiej mysiej norze.

93.

Konewka.

Jak bajka, to bajka. Odzywają się w niej słowami nie tylko ludzie sami. Rozmawiają zwierzęta ze zwierzętami, a nawet sprzęty pomiędzy sobą.

Także ta konewka, co tam w kącie stoi, z krasnoludkami gada, to i owo opowiada, jak człowiek.

Raz się skarży:

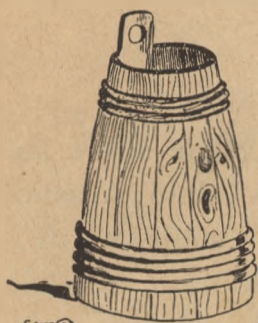
— Już mi za wiele! Czy w zwykły dzień, czy w niedzielę — nic, tylko biegaj po wodę. Ach, że bym mogła wypocząć ze dwa tygodnie, na oczy wody nie widzieć!

¹⁾ = w dyni.

A krasnoludki słuchają, głowami, brodami kiwają i zcicha się naradzają.

Wreszcie jeden wystąpi, konewce się pokłoni, a potem tak przemówi do niej:

— Niech tylko wyleją wodę, mieć będziesz spokój, wygodę, nawet dłużej, niż żądasz. Na strych ciebie wyniesiemy, dobrze skryjemy i wypoczywaj.



Nazajutrz hałas po domu. Gospodyni i dziewczki szukają konewki, a tu konewki ani śladu. Przepadła, jak kamień w wodzie.

Ha, trudna rada. Na jarmark się puścili, inną w jej miejsce kupili, a tamta sobie spoczywa.

Ale po pewnym czasie czuje, że jej coś w pasie za wolno, że usycha, że obęcz z niej jedna po drugiej spada.

Ba! Wszystkie wkońcu pospadały, a klepki się rozleciały i — po konewce.



94.

Z a g a d k a.

Pomimo wielkiego ucha, nic nie słyszy, nic nie słucha. Pokornie w kącie stoi na ustroni. Jeśliś spragniony, zajrzyj tylko do niej.

* 95.

J a ś S o w i z d r z a ł n a j a r m a r k u.

Raz ku wiosnie Jaś Sowizdrzał wesół, rześki — hyc! z pościeli. Zmówił pacierz należycie i już go tyle widzieli.

Matka jeszcze spała w łóżku. (Wczesna była to godzina.) Jaś do pieska: „Chodź, Kopciuszkule!“ bo Kopciuszkiem zwał się psina. I wędrują sobie spolem, naprzód w lewo, potem w prawo, Jaś nasz ze wzniesieniem czołem, pies ogonem kręcąc żwawo.

Leśna dróżka, potem rzeczka (zamiast mostu na niej belki) i, jak strzelił, do miasteczka, gdzie dziś właśnie kiermasz wielki.

W rynku kramów, bud bezliku, a śliczności tyle, tyle! Pyszne jabłka przy pierniku, co to pachnie aż na milę! Tutaj bączek, tam balony, ołowianych pułk żołnierzy, trąbki, skrzypki... Zachwycony, własnym oczom Jaś nie wierzy!

* 96.

Z a d a n i e.

Niebo pochmurne, zimno na dworze. Siedź grzecznie w domu, Franku, niebożę. Chciałbyś się bawić, mój panie? Dobrze, lecz naprzód zadanie!

O! jakże mu się nie chce, jak się nie chce!

Matka prosi, upomina — szuka wymówek chłop-

czyna: atrament gęstszy od mazi, papier chropawy, pióro zadziera, — a ze wszystkiego próżniak wyłazi!

Wreszcie zawstydzony burą, gdy go matka wciąż nagania, siada przecież do pisania.

Przeciągnął się, przetarł czoło, sennym wzrokiem wodzi wkoło. Chrząknął, ziewnął, mruknął, klasnął, zwiesił głowę nad zeszytem, powieki przymknął i — zasnął!

Cóż to znów? myśli kot na przypiecku. Coś chyba stać się musiało dziecku. Franek i spokój! A jakież лихо? Nie jego zwyczaj siedzieć tak cicho! Nawet za ogon mnie nie pokręci. Muszę wybadać, co się tam święci!

— Miau! Czy przyjść do ciebie mogę?

Cisza, więc — hyc! na podłogę, więc do Frania wprost, jak w dym; więc już na kolanach; więc na ramieniu, a z ramienia — jednym susem na stół, bęc!

Ba! żebyto na stół tylko! Niezręczność czasem się zdarza nawet kotu: jedną łapkę Mruczuś wpadł do kałamarza. A że czystość bardzo lubi, był tem okropnie zmartwiony. Poczernioną poczał łapkę wywijać na wszystkie strony. Kiedy i to nie pomaga, nuż trzeć nią o zeszyt Franka!

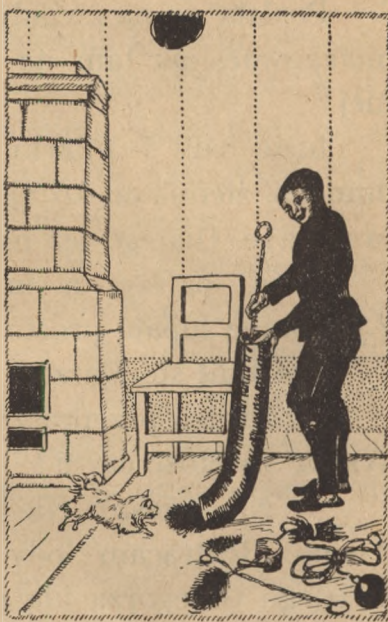
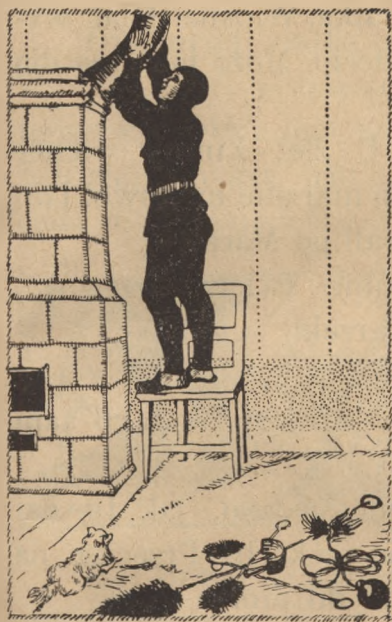
Zbudził chłopca wreszcie szelest.

Co za straszna niespodzianka!

Chciał zbić kota, ale matka w obronie Mruczuśa stanie:

— Ani mi się waż, próżniaku. A za cóż chciałbyś go męczyć? Kot, widzisz, chciał cię wyręczyć, pisać za ciebie zadanie!

Od sadzy zdala, bo cię powala!



Marzec.

Posłała go na zwiady matka, Wiosna. Miał wy-miarkować, jak tam na świecie. Może już czas dla niej?

Idzie tedy i miarkuje. O, źle! Zimny wicher dmucha, ziemia co rozłaje, to marznie na nowo. I on marznie. Dlatego też nazwali go Marzec.

Idzie, patrzy, a tu sunie święty Grzegorz¹⁾ z ogromną łopatą prosto do rzeki.

Pokłonił się Marzec.

— Bardzo przepraszam — mówi. — A co tam Wasza Świątość czyni?

— Nie wiesz? Nie będę siedział, jak ty, nadarmo. Roztrącam lody na rzekach! Przecież na świętego Grzegorza idą rzeki do morza.

Niebawem zaś potem zjawia się święty Józef.²⁾ Złotą trąbę do ust przykłada i trąbi, aż echo dźwięczy.

Znowu Marzec mówi:

— Bardzo przepraszam. Co to Wasza Świątość czyni?

— Nie wiesz? odpowiada święty Józef. — Nie będę siedział, jak ty, nadarmo. Daję znać ciepłym wiatrom, by nadpływały, bocianom, by zpowrotem śpieszyły z ciepłych krajów. Gdy na święty Józef bociek przybędzie, to już śniegu nie będzie.

Skoro Marzec to posłyszał, czym prędzej do matki Wiosny:

— A chodźcie tu już, chodźcie. Koniec zimie. Sam święty Józef tak powiedział.

¹⁾ 12 marca. ²⁾ 19 marca.

Rodzina lisów.

Oj! miała matka z dziećmi kłopotu niemało: uczyć, karcić, pilnować, ostrzegać, karmić. A już najgorzej było z tem karmieniem. Liski rosły coraz bardziej i myszy trudno było im nastarczyć. Musiała matka pomyśleć o czemś większem.



Wyruszyła więc w pole, żeby tam upolować zającą lub kuropatkę. Wyszła z lasu i patrzy, a tu na ugorze, który wczoraj zaczęto orać, kręcą się wrony.

Ha! Dobrze i wrony! pomyślała i rozciągnęła się jak długa na ziemi, udając nieżywą.

Leży i leży bez ruchu, aż tu jedna wrona zobaczyła lisa i narobiła wrzasku: Kra! Kra! Patrzajcie, co tu leży.

Zbiegły się wszystkie, ale lękają się podejść do lisa. Przyglądają mu się tylko zdaleka i krzyczą razem: Kra! Kra!

— Chyba nieżywy? Kra? Kra? pyta jedna drugą.

— Kra! Kra! może! odpowiada tamta.

— Kra! Kra! Kra! powtarzają wszystkie.

A lis leży, ani się nie ruszy.

Po chwili przecież podeszła bliżej jedna wrona, za nią druga, potem trzecia, ale żadna nie śmie dotknąć lisa, przekonać się, czy naprawdę nieżywy.

Wreszcie jedna, odważniejsza, pociągnęła go dziobem za koniec ogona: lis ani drgnął.

Wrona nadęła się dumnie: Kra! Kra! Jakam odważna! Kra! Kra! Chodźcie i wy tutaj.

Wrony zaraz obstały lisa. Najmłodsza i mniej mądra od innych, postanowiła ukarać go po śmierci za wszystkie jego złe uczynki. Zaszła z przodu i z całej siły uderzyła go dziobem w pysk. Lis na to tylko czekał: uchwycił za kark wronę, zerwał się i pogonił z nią do lasu.

Młodym liskom smakowała tego dnia wrona lepiej, niż myszy.

• 100.

G r a w l i s a.

Dzieci: Lisku! Lisku! Gdzieś to hasał?

Lis: Gąskim, panie, w polu pasał. Pasałem je w polu, pasalem w boru, oddałem je wszystkie pani do dworu.

Dzieci: Lisku! Lisku! Kłamiesz wasze! Zjadłeś wszystkie gąski nasze. A teraz uciekaj, dalej do jamy! Bo cię złapiemy i pieprzu damy!

Lis ucieka do mety, dzieci gonią za nim.

101.

B ó j k a n a p o d w ó r z u.

Nikt we wsi nie miał tak pięknych kur, jak Walentowa. Cieszyła się niemi i hodowała je troskliwie. Wiele kłopotu sprawiały jej tylko dwa ogromne koguty.

Jeden był zupełnie biały z dużym, czerwonym grzebieniem. Drugi miał szyję i pierś złocistą, ogon czarny o zielonym połysku.

— Kukuryku! Widzę, chcesz udawać pawia!

— Kukuryku! Nie mieszaj się do nie swoich rzeczy!

— Kukuryku! Kto mi zabroni mówić, co myślę?

— Kukuryku! A czy ty umiesz myśleć?

— Oho! Ziarnko!

— To ziarnko jest moje.

— Zobaczymy!

— Zobaczymy!

Tu, jak nie rzucą się na siebie, jak nie zaczną jeden drugiego dziobać! Posypały się pióra...

Nareszcie złocisty został pobity. Biały zwycięsko zapiał i pędem poleciał po ziarnko. Ale już go nie było. Ziarnko zjadła kura, gdy koguty się kłóciły.

Gdzie dwóch się kłóci, tam trzeci korzysta.

102.

Z a g a d k a.

Ślicznie się przystroił, a rycerz zeń srogi: dziób ma silny, ostry, przy nogach ostrogi. Kur pilnuje ciągle, niby oka w głowie. — Jakże się ten rycerz podwórkowy zowie?

103.

Z a b a w a w w o ź n i c ę.

— Antek, usiądź na tem krześle. Będiesz udawał pana w powozie. Ja będę woźnicą i usiedę na stołku tutaj przed tobą. Tamte dwa stołki zwiążemy

sznurkami! To nasze konie. Jest i bicz. Zobacz, jaki długi. No, siadajmy i jedźmy. Wio, kary! Wio, gniady! Wio! Do Milówki, do babuni.

Tam właśnie pojechała ich matka. Antek i Janek bawią się sami. Marjanna pierze bieliznę.

— Wio! — woła Janek, a biczkiem wywija to w prawo, to w lewo. Prawdziwy z niego woźnica. Wtem, brzdęk... ze szafki spada słoik z konfiturami i tłucze się na drobne kawałki. Janek strącił go biczem. Marjanna biegnie z kuchni i aż ręce załamie:

— Oj, co też pani powie! Janek taki duży chłopiec, ma ośm lat i taki nieostrożny!

Chłopak zawstydził się bardzo. Przestał bawić się w woźnicę. Obaj z Antkiem ustawili krzesła na miejscu i zabierają się do spania. Janek jeszcze coś prędko napisał na ćwiartce papieru.

Gdy matka wczesnym rankiem wróciła z Milówki, znalazła na stole taki list:

„Droga Mamusiu! Spać będziemy jeszcze, gdy wrócisz. Nie będę Ci mógł zaraz powiedzieć, że to ja stłukłem słoik. Nie myśl, że Antek albo Marjanna. Bawiłem się w woźnicę i strąciłem słoik biczkiem. Przebacz mi, Mamusiu!

Twój

Janek.“

104.

Długie włosy.

Do małego Romka powiedział raz brat starszy, Władek:

— Masz włosy długie jak dziewczynka, a to chłopcu nie uchodzi.

Od tego dnia Romek wciąż napraszał się, aby mu obcięto włosy.

— Chcę mieć takie włosy, jak inni chłopcy — mówił do matki. — Nie chcę wyglądać jak dziewczynka.

I wkońcu postawił na swoim.

Staął raz przed Władkiem w małym, czerwonym kapeluszu, w długiej, białej bluzie i z dumą oświadczył:

— Jadę do miasta, każę się ostrzyc!

Siedząc obok matki w wozie kolejowym, paplał bezustannie. Gdy go to znudziło, zaczął przyglądać się pokolei wszystkim jadącym. Wtem wydało mu się, że jakiś starszy pan spojrzał na jego włosy. Zaraz więc mu powiedział, że jedzie do miasta, aby dać sobie ostrzyc włosy.

Stary jegomość wszakże już nie patrzył na malca i czytał dalej gazetę.

Romek sądził, że obcy go nie dosłyszał i powtórzył:

— Każę sobie włosy ostrzyc, abym nie wyglądał jak dziewczynka!

Lecz stary pan mruknął coś pod nosem i zasłonił się gazetą.

Romek zamilkł. Przez całą drogę nie wymówił już ani słowa. Gdy wysiedli z wagonu, rzekł szeptem:

— To był z pewnością jakiś niedobry pan!

— Niewiadomo! Ale to był obcy człowiek, a dzieci nie powinny naprzykrzać się obcym — odparła matka.

— Myślałem: ucieszy się, gdy usłyszy, że już nie będę wyglądał jak dziewczynka.

Obcięto wreszcie włosy Romkowi i powrócił z matką do domu.

W podwórzu puścił rękę matczyną i pobiegł do ojca.

Stał przy biurku, zdjął kapelusz — nie zapomniał jednak, że ojcu przeszkadzać nie wolno. Stał więc i czekał z kapeluszem w ręku. Aż drżał z ciekawości, co ojciec powie.

Ojciec patrzył przez chwilę na malca, potem chwycił go na rękę, uściskał i rzekł:

— Aaa! teraz Romek jest prawdziwym chłopcem!

105.

Gniezno.

X. Opowiadanie Jagusi.

— Jaguś, a czy nie słyszałaś jeszcze w szkole, jak sobie nasi poradzili z Niemcem?

— Zebrali się gospodarze, starzy i młodzi, uzbroili się i dalejże gromadą na wroga. Odegnali go precz. A obrali sobie mądrego wodza. Na wojnie, jak we wsi sołtys, jeden musi rozkazywać, a inni słuchać. Mądry ten wódz Lech się nazywał. Lech tak prawi do swojej gromady:

— Patrzcie, chłopcy, na ten las. Nuże! rąbać mi drzewa. Zbudujemy tu siedziby nasze. Ogro-

dzimy je i rów głęboki wkoło wykopiemy. Tu schowamy nasz dobytek, naszą broń i sami tu mieszkać będziemy. Stąd łatwiej nam będzie upilnować Ojczyzny przed nieprzyjacielem.

Wala chłopcy siekierami. Stawiają domy i chaty.

Raz Lech siedzi sobie pod drzewem i duma, jakie imię dać nowej siedzibie. Aż tu bęc! spada z drzewa coś ogromnego. Patrzy Lech: wielkie gniazdo, niby naszego bociana. W gnieździe same białe orlęta i stary orzeł, także biały. Rozpostarł skrzydła, a dziób nastawił i nie dopuszcza nikogo do małych.

— To chyba znak z nieba — rzecze Lech. — Od tego gniazda siedziba nasza Gniezno niech się nazywa. A my bronić go będziemy przed nieprzyjacielem, jak ten orzeł swojego gniazda przed nami broni.

* 106.

Lech.

Po zaciętej, krwawej walce wróg w dalekie pierzchnął strony. Wśród rycerzy swoich mężnych siadł pod dębem Lech strudzony.

Wtem szum jakiś dziwny w górze... Co to? Zrywa się gromada. Patrzą: białych orłów gniazdo wprost pod stopy Lecha spada.

— Dobry to znak — rzecze książę. — Wróżba mocy, wróżba chwały. Szponem, dziobem broń nam Polski, dumny, śmiały Orle Białe!

Aby uczcić zaś tę chwilę, niech osada tu powstanie. Na pamiątkę gniazda orłów, Gniezna damy jej nazwanie.



KOTKI



O kotce wiadomo, że „siedzi sobie na przy-
piecku, mówi pacierz po niemiecku”. Lubią więc
kotki ciepło. Nieraz przesiadują także na dachu
lub parkanie, aby wygrzać się w słońcu. Ale o ko-
tkach na drzewach Marysia nie słyszała.

A tu pewnego razu wpada Franek i mówi:

— Chodź ze mną nad rzekę! Pokażę ci kotki
na wierzbach.

Zdziwiła się Maryś:

— Kotki na wierzbach? Słyszał kto coś po-
dobnego?

— A słyszał, słyszał! Szkoda tylko, że one tak
wysoko. Nie mogłem ich dosięgnąć. Cóż? Pójdziemy?
Owinęła się dziewczynka chustką i poszli.



Stokrótka.

Dzień był pogodny.
Ostry wiatr marcowy
osuszył błoto. Świeciło
słońce, niewiele jednak
dawało ciepła. Na łące,
jeszcze szarej, jaśniały
tu i ówdzie białe sto-
krówki. Gdzie niedzie
wydobyły się już kęp-

kami żółte kwiaty podbiału i złociły się zdaleka, jak rozrzucone gwiazdki.

Nad rzeką rosły wierzby. Dzieci pędem pobiegły w tę stronę.

— Gdzież te kotki? spytała Maryś, gdy stanęli pod najbliższym drzewem.

— Jakto? Nie widzisz? Popatrz tylko! Czy nie śliczne? Jakie gładkie, puszyste...

— Ach! przerwała bratu Marysia. — To bazie nazywają się także kotkami? A ja myślałam, że chcesz mi pokazać takie kotki, co mają pazury i miauczą...

— I przybiegną do ciebie na wołanie kci-kci-kci? zaśmiał się chłopiec.

A kotki wierzbowe, kołysane wiatrem, poly-skiwały w słońcu i nachylały ku Marysi swe srebrzyste główki.

Gdy wracali do domu, ozwał się Franek:

— Przed Kwietnią Niedzielą¹⁾ poprosimy ojca, by nam naciął gałązek z kotkami. Z tych gałązek zrobimy palmy. W Palmową Niedzielę wolno uderzyć każdego taką palmą. Ale trzeba przytem mówić: „Wierzba bije, nie ja biję. Za tydzień — wielki dzień, za sześć noc — wielka noc“.



Podbiał.

¹⁾ Ostatnia niedziela przed Wielkanocą nazywa się Niedzielą Palmową albo Kwietnią, a także Wierzbną Niedzielą.

Wielkanoc.



109.

Alleluja!

Wesoły nam dziś dzień nastał, którego z nas
każdy żądał. Tego dnia Chrystus zmartwychwstał.
Alleluja! Alleluja!

* 110.

Święcone.

Już wczesnym rankiem w całej wsi uciecha
i wesele. Wyległ na cmentarz gwarny tłum — na
cmentarz przy kościele.

Na ziemi długie rzędy mis. Święcone z chat
i chatek: pisanki, paski, schaby, ser — wszystkiego
tu dostatek.

Na klęczkach modły szepcze lud: dzieci, kobiety,
chłopi. Wśród rzędów mis przechodzi ksiądz i dary
Boże kropi. Chylą się głowy, huczy dzwon, a coraz
to jaskrawiej przyświeca z góry słońce: Bóg Swym
wiernym błogosławi.

111.

Kwiecień.

Od kwiecica tak ludzie nazwali ten miesiąc.
Na powitanie jego zakwitły
wśród nowej tra-
wy: tam białe śnie-
życzki i stokrocie,
tu niebieskie przy-
laszczki i sine sa-
sanki, ówdzie żółte
podbiały. Nie nali-
czyłbyś wszystkich.



Śnieżyczka.



Przylaszczka.



Sasanka.

— Ześlijże nam jak najwięcej ciepła i słońca! proszą.

Ale Kwiecień niby ich nie słyszy. Chłód często gęsto daje się jeszcze we znaki. Nieraz nawet płatki śniegowe zaczną wirować w powietrzu, jak w zimie. Bywa, że na samą Wielkanoc dobrze w ręce chuchać trzeba.

Stąd wzięła się przypowieśćka:
Kwiecień — plecień, bo przeplata,
trochę zimy, trochę lata.

Łaje syna Wiosna.

— Nie spodziewałam się tego po tobie. Dlaczego tak skąpisz ciepła?

A Kwiecień odpowiada:

— Chcę, aby brat mój młodszy, który po mnie przyjdzie, nie miał kłopotów. Niech się doreszty wysili chłód.



Mlecz.

* 112.

Nasze kwiaty.

Jeszcze śnieżek prószy, jeszcze chłodny ranek, a już w cichym lesie kwitnie moc sasaneek. Za niemi przylaszczka wychyla się z pączka i mleczem

się żółtym złoci cała łączka. I dłużej już dzionka i więcej słoneczka... A w polu się gnieździ biała stokroteczka.

*113.

O czem ptaszek śpiewa.

A wiecie wy, dzieci, o czem ptaszek śpiewa, kiedy wiosną leci między nasze drzewa? Oj, śpiewa on wtedy piosenkę radosną: „Przeminęły biedy, gaj się okrył wiosną!“ Oj, śpiewa on sobie z tej wielkiej uciechy, że do gniazda wraca, do swej miłej strzechy.

Latał on za góry, latał on za morza... za nim ciężkie chmury, przed nim złota zorza. Teraz się zmieniła pogoda na świecie, nasza wiosna miła odziała się w kwiecie.

114.

Gęsi.

Wyszła z chaty Kasia gąski zaganiać. Bosemi nóżkami stapała po szarej ziemi. Oczy miała jak fiołki, właśnie wtenczas wyzierające ciekawie z trawy. A kosę miała długą — jak palec i grubą jak palec. A wstęga u kosy krakowska, w róże i chabry. Z wiaterkiem wstęga powiewa, a Kasieńka śpiewa:

Hela, gąski, hela!

Na wodę i w drogę!

Wszystkie gąski popłynęły,

Czemuż ja nie mogę?

Tak nucąc, popędziła Kasia stadko przez sad, na łąkę, nad rzekę.

Kroczyła na czele gęś-matka z należytą powagą. A była to gęś okazała: dziób czerwony, łapy też. szyja i grzbiet białe, a skrzydła szare, słowem — piękna gęś siodłata. Szły za nią gąsięta zielonawo-żółte, gwarząc cichutko ze sobą, a na końcu kroczył dumny i zarozumiały gąsior. Od czasu do czasu syczał srodze na Kasię, jakby mówił:

— Tylko ty bądź grzeczna, nie dokuczaj moim małym, bo inaczej rozszarpie cię w kawały!

Sycząc, tak groźnie wstrząsał skrzydłami, że aż dwie żaby, co były blisko ścieżki, skoczyły w przerażeniu ku rzeczulce.

* 115.

Gąski.

A te gąski siodłate wyszczypały sałatę, wyszczypały lebiodę, poszły z krzykiem na wodę.

A tu Kasia, niebożę, ustrzec gąsek nie może. Jak się za nią puściły, tak umyka co siły.



Lebioda.

116.

Smok wawelski.

Gdy Krak panować zaczął, kłopotów miał wiele, niemało, i nieraz już się zdawało, że nie da im rady. A przecież z pomocą bożą i przed Niemcami się obronił i z głodu lud wyratował i jeszcze sobie zbudował zamek na Wawelu.

Lecz ledwie gmach modrzewiowy stanął pod czerwonym dachem, przyplątał się smok-smoczysko, w jamie pod zamkiem blisko zamieszkał, jakby innego już miejsca nie miał na świecie.

Ba — niechby sobie i siedział! Jednak miał brzydkie zwyczaje: nikomu spokojnie przejść nie daje, ludzi, bydło porywa, a zdobyczy nawet nie gryzie, jeno połyka, jak kluski.

Ludzie chyba nocą z domów się wymykali, bydła z obory nie wypuszczali, a obcy milami objeżdżali siedzibę smoka.

Próbował Krak ubić potwora. Kto jednak z takim wytrzyma, który samemi oczyma, gdy je na kogo zwróci, zabija?

Aby mieć spokój, ludzie co dnia smokowi rzucałi: ten cielaka, ów żrebaka, wieprzaka — nie było innej rady!

Aż ci zdarzyła się razu pewnego rzecz taka. Przyszedł szewczyk Skuba na zamek i powiada do Kraka:

— Jest rada!

— A na co rada?

— Na smoka, miłościwy panie! Takie mu sprawię śniadanie, że już żywy po niem nie wstanie!

I nie rozwodząc się wiele, każe zarzynać cielę. Wnętrze napycha kłakami, wiórami, okłada smołą, siarki sypie garściami. Krzesze iskry, by się to wszystko zatliło, rozplątany brzuch dratwą pięknie zeszywa, na plecy cielę porywa i z góry rzuca wprost przed smoczą jamę.

Wysunęła się z jamy głowa straszliwa, rozwarła się paszcza niegodziwa. Klap! smok połknął cielaka. Oblizął się i zpowrotem do jamy!

Nagle, jak ryknie, aż ściany zamku zadrżały, w izbach zbroje ze ścian pospadały, z dachu ptaki strwożone ku niebu wzleciały.

Aha! To nadziewka cielęcia tak rozgorzała, ogniem cały brzuch potwora zalała.

Wybiega z jamy smok przerażony, ku Wiśle pędzi, jak szalony. Pysk zanurzył, chłepcze wodę, jakby chciał całą rzekę wypić.

Nie wypił jej! Przedtem bowiem przepękl i już go nie było i tak się wreszcie skończyło to ciężkie strapienie ludzkie.

* 117.

Szewczyk.

Jestem sobie szewczyk mały. zwijam się za dwóch. Sam pan majster mi powiada, żem nielada, oj, nielada



zuch!



Wprawi-

łem się w szewskiej sztuce, chociaż to nielatwo. Umiem obejść się z po-
ciągłem, raszplą, szydłem, dratwą.

Kiedyś, gdy urosnę nieco, a Bóg mi pomoże, czeladnikiem będę, maj-
strem, własny sklep otworzę. Nie
poskapię trudu,
znoju co dnia już



od rana, by pożytek ze mnie miała Ojczyzna ko-
chana.

Gdyby wróg zaś kiedy znowu wpadł na nasze niwy, to mu takie skroję buty, że nie ujdzie żywy!

Jestem sobie szewczyk mały, zwijam się za dwóch. Sam pan majster mi powiada, że nielada, — oj, nielada zuch!

118.

Obietnica.

Józio nie mógł chodzić. Miał już sześć lat, a jeszcze nigdy kroku o własnej sile nie zrobił.

Matka Józia, biedna wdowa, szyła całemi dniami, a Józio przesiadywał w oknie i patrzył, jak dzieci bawią się na ulicy. Michaś zprzeciwka, zwinny i wesoły, biegał, jak sarna. Miał proste i zdrowe nóżki.

— Mamo — pytał czasem Józio — czy ja nigdy tak biegać nie będę?

A matka wzdychała i mówiła:

— Może, może, mój synku drogi!

Pewnego razu wpadł do Józia Michaś, bardzo rozradowany.

— Wiesz, Józiu — wołał od progu — był u nas wujcio ze wsi i wziął mnie na wózek. Przejechałem przez całe miasto! Wujcio mi obiecał, że skoro drugi raz przyjedzie, to zawiezie mnie za miasto, abym zobaczył wieś.

— Jakiś ty szczęśliwy! Ja nigdy wsi nie widziałem!

Michasiowi żal zrobiło się Józia i powiedział:

— Poproszę wujcia, to weźmie i ciebie.

Odtąd mały kaleka żył tylko myślą o wsi. Wieś zdawała mu się czemś cudownem. I ciągle mówił matce o tem, że zobaczy prawdziwe drzewa i ptaki, łąki i kwiaty, a może nawet i rzekę. Jakież to wszystko musi być piękne!

Minął wszakże dzień jeden, drugi dzień i trzeci, a Michasia nie było. Biedny Józio wyglądał oknem, drżał za każdym skrzypnięciem drzwi. Minął nareszcie i tydzień, a Michaś nie przychodził. Józio aż pobladł z tęsknoty.

Nakoniec, pewnego poranku, wózek wiejski, zaprzężony parą żwawych koników, zajechał przed mieszkanie rodziców Michasia.

Józio klasnął w ręce z radości.

— Zaraz Michaś przyjdzie po mnie! zawołał i roztworzył ramiona, jak ptak skrzydła do lotu.

Ale Michaś nie pomyślał o danej obietnicy. Wskoczył na wózek i odjechał z wujem.

— Zapomniał, mamó, zapomniał! rzekł Józio i dwie duże łzy spłynęły po wynędzniałej twarzy biednego kaleki.

* 119.

Oj, sianko, ty, sianko!

Rośnij, łąko, rośnij! Na tve sianokosy czekam niecierpliwie — ja, pastuszek bosy.

Oj, sianko, ty, sianko, zebrane na łące! Jakież ty mięciutkie, jakie woniejące!

Kiedy sianożęci czas wreszcie nastanie, przejadę się nieraz na wozie, na sianie.

Chętnie z takim wozem ciągną do dom konie,
a ja tam na sianku, niby król na tronie.

Gdybym też miał królem zostać z łaski Pana,
toby tronem moim była fura siana.

120.

Zagadka.

Wierny towarzysz człowieka, pracuje a nie narzeka. Siano zjada, nóżką grzebie, gdzie zechcesz, powiezie ciebie.

121.

Cztery zuchy.

Janek, Wacek, Julek, Franek i Kazio wybrali się w odwiedziny do swego przyjaciela, Romka. Idą drogą wśród pól i łąk. Idą szeregiem równo i prędko. Jeden tylko Kazio kroku dotrzymać im nie może: jest za mały. Wysila się, rozstawia szeroko swoje krótkie nóżki, macha rękami. Ale nic nie pomaga. Nie może nadążyć. Zostaje wtyle, bo jest za mały.

Ci starsi, wielcy, ani myślą zaczekać na niego. Nie chcą zastosować swoich kroków do jego małych kroczków.

Naraz ci nasi wielcy, nasze cztery zuchy, zatrzymują się. Zobaczyli na ziemi skaczące zwierzę. Zwierzę skacze, bo jest żabą. Uskoczyło właśnie na łąkę, z tamtej strony drogi.



Janek, Wacek, Julek i Franek rzucają się w poгон za żabą. Już są na łące. Lecz czemużto przystają co chwila? Oto czują, że nogi im grzęzną

w rozmokłej ziemi, porosłej gęstą trawą. Jeszcze kilka kroków i wpadają po kolana. Trawa kryła bagnisko.

Wydobywają się z wielkim trudem. Ich buciki i łydki są czarne od błota.

Kazio dogonił ich teraz, cały zadyszany. Nie wie, czy ma się smucić, czy cieszyć na widok ich



zabłoconych nóg. Tacy wielcy, tacy silni i spotkała ich taka przygoda!

A cztery zuchy wracają do domu ze zwieszonymi nosami. Bo jakże tu iść do Romka z nogami oblepionymi błotem po kolana?

Zabawa w żaby.

Dzieci wróciły z przechadzki nad stawem. Umyślnie tam chodziły, aby posłuchać, jak żaby rechocą. Bo kto tylko uważnie posłucha, może zrozumieć wszystko, co one mówią. To też dzieci wsłuchiwały się pilnie, a nawet zapisywały sobie zasłyszane wyrazy z tej rozmowy żabiej.

W szkole zaraz urządziły zabawę w żaby. Franek narysował na podłodze wielkie koło, niby staw, poustawiał dzieci i woła:

— Baczość! jesteśmy teraz żabami. Tak gadać będziemy, jak one. Zaczynamy!

„Siostro! — Cóż? — Był bocian? — Był! — Wziął którą? — Wziął! — Płaczmy ją!”

Wszystkie żaby: „U... u... u!”

„Kumo! Był tu bociek? — Był! — Wziął wam dziecko? — Wziął! — Płakaliście? — Nie! — To płaczwa teraz!”

Wszystkie żaby: „Rech, rech! Kwak, kwak!”

„Siostro? — Co? — Umarł! — Kto? — Pan bocian!”

Wszystkie żaby: „To my temu rade, rade, rade!”

„Kumo, kumo, kumo! Kaj idziecie?

— Na jarmark, ide, ide!

— Co kupować będziecie tam kumo?

— Rogi, nogi, rogi, nogi, rogi, nogi!”

„Co gotujesz siostro?

— Groch, groch, groch!

— Dasz mi też?

— Dam, dam, dam!”

Wszystkie żaby: „I my rachu, rachu, rachu!”

Uśmieły się dzieci serdecznie.



123.

Zagadka.

Ponad wodą, brzegiem rzeczki chodzi rycerz śmiały, zobaczyły go kumeczki i pouciekały.

124.

Maj.

Już łąki pokryły się trawą, las młodem liśćmi. Po mokradłach chodził

bocian, w krzakach ćwierkało ptactwo, a nocami cudnie wyśpiewywał słowik.

Nowy miesiąc uradowany był bardzo, że w tak pięknym czasie wypadło mu rządzić. Sam nazwał siebie: Maj.

Wiosna wystroiła go, jak królewicza. Ano nie dziw: najmłodszy on przecież z trzech jej synów.

Do roboty napędzała go jednak:

— A pilnuj tam, aby tarnina wczas rozkwitła!



Kwitnąca gałązka tarniny.

Wszak wiesz, jak święty Stanisław ¹⁾ lubi woń jej kwiatu.

— A nie żałuj deszczyku. W maju kwarta deszczu — kropla błota. Trzeba zaś wilgoci polom. Niechaj się sprawdzi. że święta Zofija ²⁾ kłosy rozwija.

I tak coraz coś wyszukiwała. Niech tylko synek Maj nie próżnuje! A on był posłuszny. Pilnował także łąk i ogrodów, aby co dnia Matka Boska miała poddostatkiem kwiatów świeżych na majowe nabożeństwo.

* 125.

Do kukułki.

Przylatuj już, kukułeczko, do naszego kraju. Zakukajże nam, zakukaj, w zieloniutkim gaju. Przylatuj za jaskółkami i baw nas wesoło, bo już wiosna, chwala Bogu, jaśniej wokoło.



126.

Zegar.

Franek: Czy u was jest zegar?

Antek: Są aż dwa. Jeden, ogromny, wisi na ścianie, drugi, mały, nosi tatuś w kieszonce od kamizelki. A u was?

Franek: Właśnie dwa tygodnie temu kupił mój tatuś śliczny zegar ścienny. Wygląda jak mały domek. Pod daszkiem są drzwiczki. Co godziny otwierają się, staje w nich kukułka i kuka. O ósmej

¹⁾ 8 maja. ²⁾ 15 maja.

godzinie ośm razy, o dziesiątej dziesięć. Nawet w nocy kuka. I pociemku wie się, która godzina!

Antek: Ej, chciałbym ja widzieć, jak ta kukulka wyskakuje i kuka.

Franek: Przyjdź do mnie, to ją zobaczysz. Żebyś wiedział, co ja miałem kłopotu z tym ptakiem! Tatuś powiada raz: „Franek, za godzinę masz napisać zadanie i wyuczyć się wierszyka. Pamiętaj, gdy ptaszek zawoła pięć razy „kuku“, ma już być wszystko gotowe. Inaczej kukulka pomyśli, żeś próżniak.“

Zadanie skończyłem. Już uczę się wierszyka, a strach mi, czy też ptak nie wyskoczy, nim będę gotów. I wyskoczył! A ja jeszcze jednej zwrotki nie umiem. — „Wstyd! mówi ojciec. — Kukulka się odzywa, a ty dołąd marudzisz.“

Było tak jednego dnia i drugiego. Aż się zgniewałem i krzyczę na ptaka: „Będziesz ty cicho! Ja muszę być pierwszy!“

Antek: I co, posłuchała cię kukulka?

Franek: Gdzietam posłuchała! Ale radę już na nią mam!

Antek: Może jej dajesz co dobrego?

Franek: Ej, nie! Prostu, pracuję pilnie; nie tracę ani chwili. Nauczyłem się też w szkole rozpoznawać godziny na zegarze. Gdy wielka wskazówka przybliżyła się do dwunastki, a mała do piątki, składałem książki i wołałem: „Kto dziś pierwszy, mościa panno?“ A ona zaraz łebek wychyla i „kuku, kuku!“ odzywa się pięć razy. Ja zaś do niej: „Nie ty pierwsza, ale ja, ja! A widzisz! Kto zegarka pilnuje, ten się nie spóźni!“

127.

Z a g a d k a.

Chodzi, a wciąż jedną drogą; bije, a nie tknie nikogo.

128.

G o d z i n y.

Cicho wreszcie po dnia gwarze,
Bo dziewiąta na zegarze.

Niech się dłużej nikt nie krząta,
Czas pójść do snu, już dziesiąta.

Słyszać krzyk sów i puhacza,
Czas północy to oznacza.

Zapiał kogut poza ścianą.
Daje znać, że trzecia rano.

Wszędzie ruch się znów zaczyna.
Nie dziw: czwarta już godzina.

Słońce prosto w okna świeci.
Bije szóstą! Wstawać dzieci!

129.

K w i a t y j a b ł o n i.

Niemasz to, jak wiosna. Gdzie spojrzeć, wszędzie zieleń świeża i coniemiarą kwiatów.

Wyszła Marynia z matką do ogrodu i sama nie wie, na co wpierw patrzeć. Tu rozkwitły już wonne, białe narcyzy, ówdzie barwny tulipan, tam pyszna piwonja, u jej stóp zaś skromne bratki.

W górze nad niemi rozpinało gałęzie drzewko, obsypane bladoróżowem kwieciem. Gdzie niegdzie

tylko przezierał zielony listek. Aż w rączki klasnęła dziewczynka na ten cudowny widok.

— Mamusiu, mamusiu — szczebiotała — narwij mi tych kwiatów. Zrobię z nich bukiet.

— Bardzo chętnie — rzekła matka. — Pamiętaj tylko, że to jest jabłoń. Z każdego jej kwiatu wyrośnie piękne, rumiane jabłko. Im więcej zatem narwę ci kwiatów teraz, tem mniej będzie jabłek w jesieni.

Marynia chwyciła matkę za rękę.

— O, daj jabłonce spokój! Wolę już zaczekać do jesieni.

*130.

Jabłonka.

Jabłoneczka mała kwieciami się odziała. Obiecuje nam jabłuszka, jak je będzie miała.

Mój wietrzyku miły, nie wiesz z całej siły. Nie otrącaj tego kwiecica, żeby jabłka były.



* 131.

Motyl i gąsienica.

— Co to za robak szkaradny ta gąsienica obrzydła! rzecze raz motylek ładny.

Ta mu na to! odpowie:

— A dawno masz skrzydła?

132.

Wanda, córka Kraka.

A czy to zrywa się burza i szumi? A czy to Wisła wezbrała?

Nie burza łamie po lesie drzewa, nie Wisła się tak rozlewa. Idą, ciągną od zachodu szeregi zbrojne. Na wojnę! Na wojnę!

Prowadzi je Rytygier, ksiązę niemiecki.

— A zacóżto, Rytygierze, napadasz sąsiadów? A czemże ci zawinili? Kraj twój może zniszczyli? Grody, wsie, popalili? Ludzi wysiekli, bydło wprowadzili?

Nic się takiego nie stało. Szkód nie sprawili, nie napadali — czem innem księcia rozgniewali.

Bo Niemiec tak sobie ułożył.

Słyszał, że tam nad Wisłą rządy sprawuje, po ojcu Kraku, Wanda nadobna. Więc myśli:

— Dobrze się składa! Wezmę tę księżnę za żonę. Tak bez kłopotu zabiorę i lasy te niezmierzone i pola już uprawione i wszystkie skarby po grodach, świątyniach nagromadzone!

I zaraz przyjaciół w złocistych szatach wysyła, prosząc Wandę, by mu nie odmówiła, ślubami się z nim złączyła, żoną mu była.

Wracają wysłańcy zmartwieni. Wanda grzecznie ich przyjmowała, gościła i częstowała, lecz ani słyszeć nie chciała, by Niemca wziąć za męża.

— Ha, nie chce po dobremu oddać nam swych ziem, to ją zmusimy, lud cały rozpędzimy, sami się w jego miejsce usadowimy.

Idą, ciągną od zachodu szeregi zbrojne. Na wojnę! Na wojnę!

Pewni zwycięstwa, Niemcy śpiewają, z Wandy się naśmiewają.

Ledwie jednak wysunęli się z gąszczu, na łąki, na równiny, spochmurniały im miny. Patrzą, przyglądają się zdaleka — nad Wisłą Wanda ich czeka ze swoim wojskiem. Lud rosły, krzepki, jakoby las jaki stoi: a łuki, a cepy, topory w ich ręku.

Zagrzmiały rogi, ruszyły wojska Wandy. W jednej chwili Niemcy zewsząd otoczeni, już o zwycięstwie nie myślą, coraz słabiej się bronią, dookoła gonią, zębami ze strachu dzwonią, jak snopy padają, krwią złani.

Skończyła się ciężka praca — Wanda na Wawel powraca. W świątyni modły zanosi, chwałę bogów ojczystych głosi, o dalszą dla ojczyzny opiekę prosi.

— Czemże ubłagam, czem sprawię, byście łaskawie opiekowali się nadal moim narodem? Chyba się sama poświęcę, oddam wam życie zamłodu, a wzamian wy tego grodu strzeżcie i ziemi tej całej.

I pędem z Wawelu zbiega i skokiem rzuca się w Wisłę i znika z oczu w głębinie.

* 133.

Krakowiak.

Krakowiaczek ci ja, wesoły i żwawy, zuch do pracy równie, jak i do zabawy. Bo któżby się szczęściem nie radował takim, gdy go Pan Bóg raczył stworzyć Krakowiakiem?

A co mi tam jakieś w wielkim świecie dziwy! Tu się urodziłem, tu żyję szczęśliwy.

Cudnaż wioska nasza wśród wierzb na równinie. Wdali widać Kraków, dołem Wisła płynie. Płyną fale Wisły, górą biała piana. Życ tu i umierać — danaż moja, dana!

134.

Jaś i prosię.

Jaś ma dwa latka. Już chodzi nieźle, ale nie bardzo pewnie. Jest gruby jak barylka, pulchny przytem jak kluska żytnia, puciołowaty i czerwony.

Trzymając się ręką ściany, wędruje właśnie z izby na podwórko. Przełożył nogę wysoko przez próg, trochę za wysoko, bo jeszcze nie zdążył drugiej za nią podebrać, gdy się już noskiem oparł o podłogę.

Narobił naturalnie gwałtu, bo podłoga była twarda. Na wrzask synka kochanego wypadła z izby matula. Podniosła go, na nogi postawiła, nosek fartuchem obtarła. Ulżyło mu zaraz... I już Jaś dalej wędruje, już sobie nawet „dylu, dylu, dylu, dylu“ podśpiewuje, a blaszaną łyżką wali po ścianie.

Tak dobrnął przez sień na podwórze.

A tu wypada na niego prosiak z zadartym rykiem i woła: Ustąp z drogi — co po prosięcemu brzmi: ą-fit! ą-fit! ą-fit!

Oj, bieda to bieda, z takim dzieckiem i takim prosięciem! Już leżą obaj.

Ale Jaś nie beczy. Wali prosiaka łyżką w łeb i podnosi się z ziemi.

A kogut zaniepokojony pyta: Ko-ko-ko? A kokosz, czuła matka-pstrokatka, mówi: Krok-krok-krok! A kurczątko: Pi-pi-pi-pip! W łeb mu syp! A kaczki potwierdzają: Tak-tak-tak!

Usiadł Jasio nad brzegiem kałuży w środku podwórza i lepi z błota placki, placeczki, placuszki.

Z drugiego brzegu prosiak nos wsadził w kałużę i ryje w błocie. Obaj umazali się jak nieboskie stworzenia. Rodzona matka się pomyliła i woła na Jasia:

— Ty, prosiaku, wylaż mi z błota!

A stary, pocciwy pies podwórzowy, Kurta, na prosiaka głośno szczeknął:

— Hau, hau! Jasiuniu!

* 135.

W obronie Jaśka.

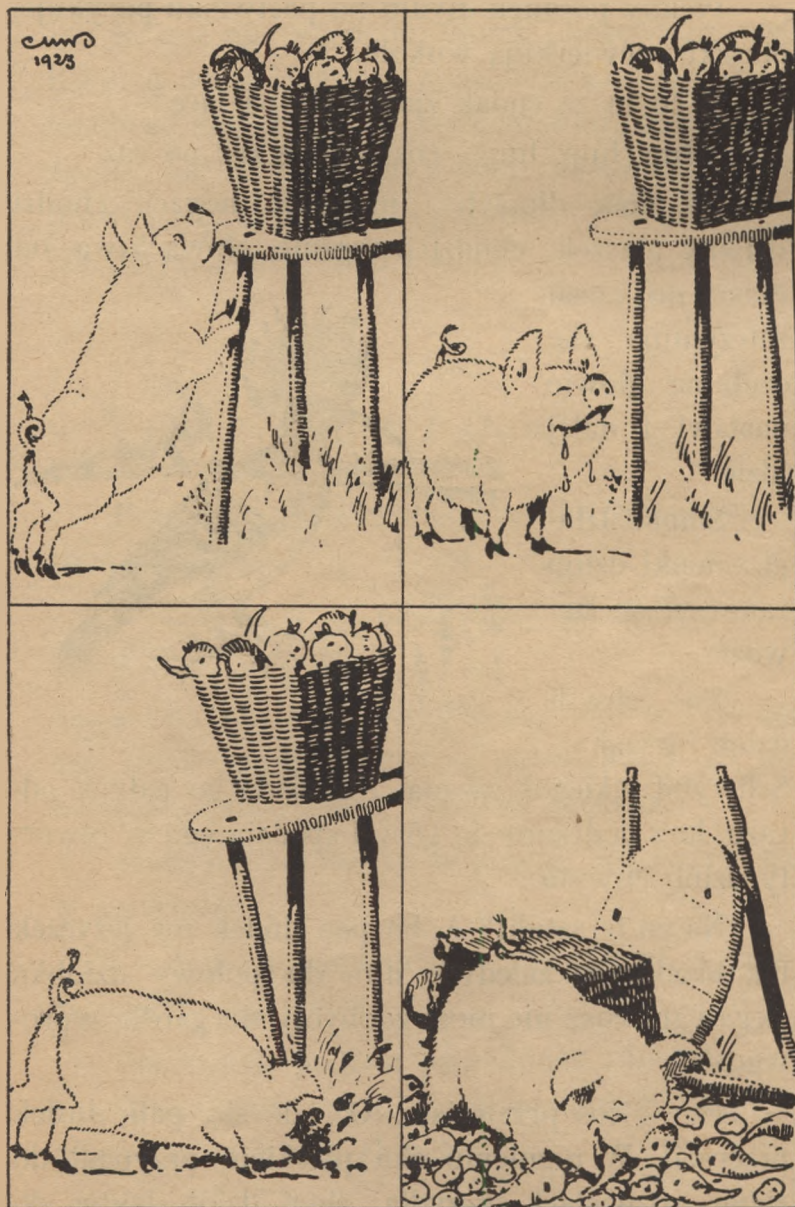
Moja pani Maciejowa! To to tak się wieprzka chowa? To on, zamiast leżeć w chlewie, psoci tu, a pani nie wie?

To tu Jasiek siedzi ładnie, a wieprzek mu kłuski kradnie! To ta śliczna, żółta miska dla takiego jest wieprzyska?

Toż się dziecku krzywda dzieje, a wieprzek się z tego śmieje... I choć Jasiek wrzeszczy, krzyczy, wieprzek, jak nic, kłuski ćwiczy!

136.

Chcącemu nic nie trudno.



Dudek.

Piękny poranek. Bydło na pastwisku porykuje, ptaszki poćwierkują wokóło.

A co to za cudak zjawił się na łące?

„Hup, hup, hup“, rozlega się raz po raz.

Na dość długich i mocnych nogach chodzi dziwny ptaszek; chodzi poważnie, głową kiwa, od czasu do czasu zatrzymuje się, czub na głowie nastawi i dalej idzie.

Staął. Długi, cienki dziób zanurzył w nawozie.

Po chwili dziób wyjął...

Schwycił jakiegoś owada. Nie zjada go jednak od razu, lecz podrzuca do góry i spadającego w otwarty dziób chwyta.

Na co te sztuki? A, bo pan dudek ma języczek tak krótki, że zaledwie nim do połowy dzióbka sięga i ani rusz nie może zdobyć do gardła wprowadzić.

Frr... coś przeleciało. O, jak się pan dudek przeraził. W mgnieniu oka plackiem przypadł do ziemi, rozpostarł skrzydła, długi dziób jakby do



obrony nastawił... Nie bój się, głupi dudku! To tylko sroka! Nic złego ci nie robi. A twoim cieniutkim dzióbkiem i tak się nie obronisz.

Bo też nie wiedział dudek, kogo tam niesie^o lichu. A nieraz już tym sposobem uratował się od groźnego nieprzyjaciela. Jastrząb, który i dudki lubi zjadać, nie dostrzeże go z góry. Ptaszka nie widać prawie, gdy się do ziemi przytuli. Tylko jego dziób, jak patyk, sterczy nad ziemią.

* 138.

Dudek i słowik.

Przechwalał się wobec słowika pan dudek koroną na głowie.

— Żem stokroć piękniejszy od ciebie, to nawet i ślepy ci powie.

— Być może — odezwie się tamten. I w gąszczu, gdzie głogi, leszczyna, gdzie kryją go tarki kolczaste, pieśń swoją słowiczą zaczyna.

Stanęli przechodnie zdumieni. Słuchają i dalej w pochwałę:

— A cóż to za śpiewak niezwykły! A cóż to za pieśni wspaniałe!

Zazdrośnie podlata pan dudek, lecz srogi go zawód spotyka: napróżno chce zwrócić uwagę, kto przyjdzie, podziwia słowika.

139.

Zielone Świątki.



140.

Majenie.

(Piosnka).

Nasza izba umajona,
Tatarakiem obstawiona,
Tatarakiem, wodną trzcina,
I czeremchą i kaliną.

Maju, maju, świeży gaju,
Pachniesz ty dziś w całym kraju.
Niosą chłopcy gałazeczki,
Wiją wianki panieneczki.

141.

W ogrodzie.

Pan Marcin pracuje w ogrodzie od świtu. Antek i Tomek pomagają dziadziowi. Pomaga i sześćioletnia Marysia. Wyrzywa chwasty z pośród kwiatów, podaje łyko, gdy dziadzio jakąś roślinkę do palika przywiązuje.

Uwijają się dzieci, uwijają się i ptaszki. Znoszą do swych gniazd to piórko jakie, to źdźbło trawy lub tłustą gąsienicę.

— Patrzcie — pokazuje dziadzio. — Tam w krzaku róży ptaszki zbudowały sobie gniazdo. Broń Boże ruszyć je lub do niego zaglądać!

I dziadzio wbił wokół krzewu kilka palików, przeplótł je gałęziami, aby nikt nie podchodził za blisko do krzaka.

Nastąpiła słota, lecz nie trwała długo. Gdy się wypogodziło, wyszedł dziadzio znowu z wnukami do ogrodu. Chodzi powoli, ogląda grzędy.

— No, no! mówi zadowolony. — Po tym deszczu rośnie wszystko jak na drożdżach.

A co też tam porabiają nasze ptaszęta? pyta sam siebie, podchodząc do róży.

Nagle twarz zmarszczyła mu się gniewnie.

— Oho! Co to? woła. — Paliki obalone, ktoś się tu dobierał. Chyba jednak nie zrobił tego żaden z moich wnuków.

Dzieci milczą. Jedno spogląda na drugie, potem wszystkie patrzą na dziadzia.

Wtem Antkowi łzy poczynają kręcić się w oczach.

— To ja — powiada i wybucha płaczem. — Ale proszę dziadzia — uniewinnia się, szlochając — ja nic złego nie zrobiłem ptaszkom, nawet ich nie tknąłem... Chciałem tylko... chciałem zobaczyć... czy w gniazdku są pisklęta. Więcej tego już nie zrobię. Będę pamiętał, że ptaszki gnieźdzą się tylko tam, gdzie ludzie pozostawiają je w spokoju.

* 142.

Uwolnienie.

— A czegoż się tak żalisz, ptaszyno świegotliwa? A czy ci może na czem w tej pięknej klatce zbywa? Niejeden ptak zapewne dostatków ci za-zdrości.

— A jednak oddam wszystko, byle być na wolności.

Zlitował się chłopaczek ; wypuścił więźnia z klatki.

Gdy u was ptak jest w domu, zróbcie to samo, dziatki!

143.

Czubatka.

Czubatka ma aż dziesięcioro dzieci. Wszystkie chodzą w żółtych sukienkach. Wszystkie mają czarne, okrągłe oczka i malutkie, różowe dzióbki. Nie mają jeszcze ani ogonków, ani skrzydełek.

Czubatka nakłopotać się musi swoim drobiazgiem. Trzeba to karmić. Trzeba pilnować. Wygrzebie robaczka, to zaraz: Ko-ko-ko! woła.

— Pi-pi-pi! zapiszczą dzieci i dalej biec do matki. Czubatka bije dziobem o ziemię i dzieli robaczka na części:

— Masz tobie kawałeczek! Kawałeczek tobie! I tobie! Każdy dostanie swoją częśćkę.

Dobrze im było razem: dzieciom i matce.

Raz w południe wybrały się do sadu.

— Tutaj moje dzieci bezpieczne — myśli Czubatka. — Trawa wysoka. Nie dostrzeże ich jastrząb. Mogą bawić się swobodnie.

Biega wesoło żółty drobiazg. Jedno kurczę skryło się pod listkiem łopuchu.

— Pi! Pi! woła stamtąd na braciszka. Ten siedzi pod listkiem chrzanu. A Czubatka rozgląda się uważnie na wszystkie strony. Spojrzała i ku niebu.

— Ko-ko-ko! krzyczy przerażona. — Jastrząb!
Straszny jastrząb!

Drapieżnik zlatuje coraz niżej. Spostrzegł kurczę w trawie. Już je porwał!... Czubatka bije skrzydłami, krzyczy, pomocy woła...

— Pi-pi-pi! płaczą braciszki i siostrzyczki.

Wybiegła z chaty gospodyni. Nie pomogła już!

Biedna Czubatka wyprowadziła ze sadu tylko dziewięcioro dzieci.

* 144.

Dziecię i ślimak.

Dziecię: Ładny ślimaku, tyś mały przecie,
ciężko ci chodzić z domkiem na grzbiecie.



Ślimak: Chociaż mi ciężko, niech już tak będzie, zato mieszkanie mam z sobą wszędzie.

Dziecię: Mój ty ślimaku, pokaż mi rogi, a ja ci sera dam na pierogi.

Ślimak: Dziękuję za prezent, do nóg upadam. Ja nie pierogi, lecz listki jadam.

145.

Biedronka.

Mszyce obsiadły łodygę różanego pączka. Cierpiał on bardzo i nie mógł się rozwinąć. Zwrócił się więc do wietrzyka z prośbą, by postrzącał mszyce.

— To nie w mojej mocy — odpowiedział wietrzyk. — Mszyce są za drobne i za silnie trzymają się łądygi. Ale ja tu przyniosę kogoś, kto cię od nich uwolni.

Po chwili przyleciał z wietrzykiem piękny chrząszcz. A kiedy usiadł na łądydze, wydawał się kroplą krwi. Miał bowiem wypukłą, czerwoną, błyszczącą pokrywę. Zbliska dostrzec na niej mogłeś kilka czarnych kropek. Także główka owadu była czarna.

Pożerał on jedną mszycę po drugiej. Wkrótce łądygę zupełnie z nich oczyścił. Pączek rozwinął się w kwiat wspaniały. Chrząszcz zaś odleciał, by gdzie indziej tępić mszyce.

Czy znacie biedronkę?

* 146.

Bzum — bum!

Pojawił się w ogrodzie, gdzie zwykle ptactwa tłum, chrząszcz pięknie utuczony. Bzyk - bzyk! Bzum - bum!

Spostrzegły go dwa wróble i wnet poczuły głód. Ach, będzie smaczny kąsek! Tir-lit! Tur-lut!

— To mój! powiada jeden.

A drugi też:

— To mój!

Tur-lut! Tir-lit! Pisk, wrzawa, wre srogi bój.

Nie czekał chrząszcz, aż skończą, i wlot im z oczu znikł. Uchodząc, jeszcze zadrwił: Bzum - bum! Bzyk - bzyk!

Popiel.

Opowiadają o Popielu, że wiele złego nabroił, własny lud uciskał i niepokoił, a sam bawił się tylko i stroił w obronnym zamku, w Kruszwicy nad Gopłem. Wiedząc zaś, jak jest przez swoich nielubiany, z Niemcami miał jakieś zmowy, niemiecką otoczył się strażą.

Raz się stryje Popiela zebrali, by go przestrzec, że tak nie może być dalej. Nawet straż go nie ocali przed gniewem bogów i ludu.

Popiel przyjął stryjów nibyto bardzo łaskawie.

— Zgrzeszyłem — mówi — przebaczcie! Ja się poprawię. Na znak zaś, że przebaczacie winnemu, siądziemy tu razem do stołu.

Zaraz też stół obrusem zaścielono, misy z jadem wniesiono, złote puchary winem napełniono. Stryje uradowani, że Popiel poprawę przyrzeka, smacznie mięsiwo zajadali, winem do księcia przypijali, wkońcu, siedząc, pousypiali.

Twardy zaprawdę sen, twarde nad podziw spanie. Już żaden się z nich nie zbudzi, nie wstanie: zatruty pokarm spożyli, zatrute wino wypili!

Tak pozbył się Popiel stryjów. Lecz krótką miał z tego radość.

Ledwie ich ciała sprzątnięto, stało się coś strasznego. Jakaś szara nawała wciska się drzwiami, oknami, otacza wkoło Popiela, szarpie go tysiącami zębów malutkich.

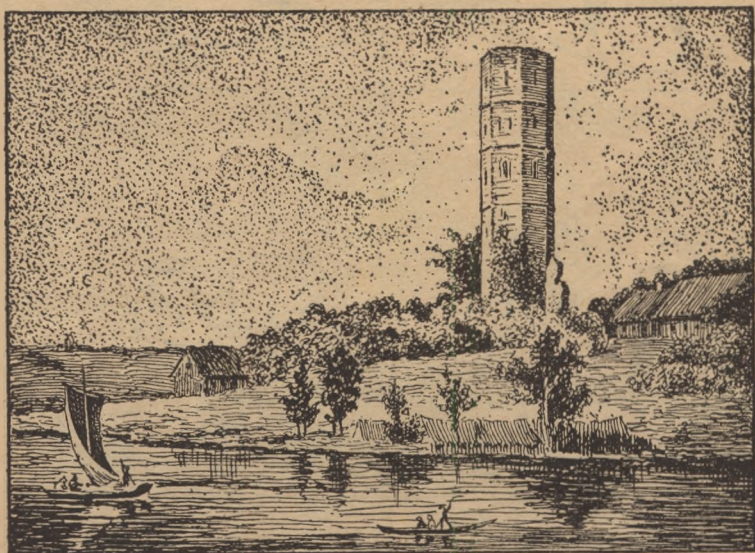
To myszy! Kto słyszał coś podobnego? Na Boga! Skąd tyle myszy?

Popiel chce uciec — napróżno! Popiel w krzyk — nikt go nie słyszy. A tu wciąż więcej tych myszy. Już wał ich po pierś mu sięga, już nawet czoło pokrywa i żywcem ciało rozrywa.

O karo, karo straszliwa!

* 148.

Nad Gopłem.



Nad jeziorem Gopłem stoi Mysia wieża, jakby kto na straży postawił żołnierza. Daleko, szeroko świat widać dokoła: sine wody Gopła, łąny, grody, sioła.

A jakie to miasto nieopodal wieży? To sławna Kruszwica od wieków tu leży. Cudnie jest, gdy słońce nad nią zajaśnieje, jakby przypominać chciało dawne dzieje.

Przygody Janka.



Lilja wodna i wróżka.

W głębi boru leżało jezioro okryte liśćmi i kwiatami lilij wodnych. Cicho tam było i spokojnie, bo wysokie i gęste trzciny nie dopuszczały wiatru. Na brzegach rosły różnobarwne kwiaty, a wśród nich i nad wodą uwijało się mnóstwo owadów.

W najświeższym i najpiękniejszym kwiecie lilji obrała sobie mieszkanie mała wróżka. Włosy miała



złociste, buzię różową i białą, a sukienkę jasnozieloną.

Kwiat kołysał się na wodzie wśród grubych, twardych liści. Mieszkanie było wygodne i zupełnie bezpieczne.

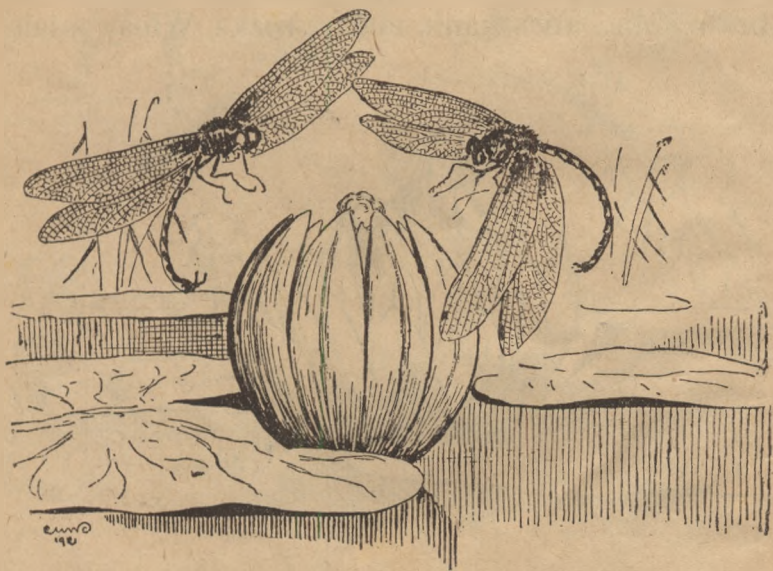
Dwie, niedaleko żyjące ważki, śliczne stworzenia, o tęczyowych skrzydłach, z zazdrością podglądały nieraz sąsiadkę i zapragnęły mieć podobne gospodarstwo.

Pewnego dnia, gdy wróżka siedziała przy śniadaniu, złożonem z kropli rosy i odrobiny pyłku kwiatowego, taką zaczęły z nią rozmowę:

— Śliczny masz domek, wróżko!

— Zapewne, zapewne. Ale to dlatego, że urządziłam go dobrze.

Widząc zaś, że ważki zanadto ciekawie zaglądają do niej, przymknęła listki lilji i wystawiła główkę, czekając, co dalej będzie.



— Możebyś nas przyjęła? Nie trzeba nam dużo miejsca! mówią grzecznie ważki.

Wróżka ruszyła głową przecząco.

— Nie mogę. Domek mój tak ciasny, że ledwie mnie samą pomieści.

Ważki tymczasem nalegały już natarczywie:

— On wcale nie jest tak mały, jak powiadasz. Na to — trzask! Wróżka zamknęła szczelnie

drzwi swego domku, a lilja stała się wtedy podobną do kuli śnieżno-białej w zielone prążki.

W pierwszej chwili ważki zdziwiły się ogromnie. Stały wyprostowane na cienkich tułowiach i nie wiedziały, co zrobić. Wcale nie chciało im się ustąpić. Słyszały bowiem, jak zamknięta w lilji wróżka śmieje się z nich wesoło.

— Tego już nadto — zawołały. — Otwórz nam zaraz, albo otworzymy sobie same.

I z gniewem usiadły na szczycie lilji, aby przemocą rozchylić listki.

Wróżka trzymała je silnie; jednak już rączki jej słabły i zdawało się, że napastliwe owady postawią na swoim. Wtem podpłynęły dwie wielkie żaby i rzuciły się na napastników. Ważki nie mogły się wyrwać i zginęły.



Po dłuższej dopiero chwili wróżka odważyła się uchylić listków. Widząc, że ważek już niema, otworzyła szeroko drzwi swego domku, wyciągnęła ramiona i zanuciła radosną piosenkę.



* 151.

Janek i wróble.

— Ojcze, ochota zbiera mnie wielka: żywcem pochwycić radbym wróbelka!

— Ach, to drobnostka! Zajdź go powoli i na ogonek nasyp mu soli.

Myśli Jaś sobie: sztuka niewielka! — Bierze sól, idzie łowić wróbelka. Lecz co którego zajdzie gdzie zcicha, wróbel się zrywa i — frrr! frrr! — czmycha.

— Ojcze, daremna wszelka zasadzka! Nie da się wróbel podejść znienacka!

— Więc się niemądrych zrzeknij zachcianek! Widocznie wróbel mędrszy, niż Janek.

Wróbelki.

Wróbelki wszędzie czynią gwar. Na bal się zbiegło kilka par. Pilip, cirp, cirp! Wróbelków kilka par.

Lecz wnet się skończył bal i śpiew. Już lecą spocząć pośród drzew. Pilip, cirp, cirp! Chcą spocząć pośród drzew.

Na szczycie stary wróbel siadł i młodym tak udziela rad. Pilip, cirp, cirp! Udziela młodym rad.

— Miau, miau, już kot nadchodzi tu. Hej, bracia, skryjmy się co tchu. Pilip, cirp, cirp! Hej, skryjmy się co tchu.

Na podwórku.

Na podwórku gwarno i rojno. Drób rozmaitego rodzaju skrzętnie uwija się po niem. A jak zgodnie, aż miło patrzeć.

Pani z Kokodackich Kogucińska wodzi się z pi-skłętami. Tuż obok państwo Gęgalscy, również ze swojemi dziećmi, pasą się na trawie. Gąsięta szczypią zieleninę, nie wchodząc nikomu w drogę. Czasem spotykają się też z dziatkami państwa Kwakwasińskich. Wszyscy zjadają trawę zgodnie, jak przystoi dobrym sąsiadom.

Tylko pan Jendor i cała jego rodzina trzymają się na boku. On chodzi wiecznie nadęty, z dumnie

podniesioną głową i krzyczy co chwila, jękając się: „Głu- głu- głupcy wszyscy! Ja jeden tu mądry! Głu- głu- głupio u was na podwórku. Ja jeden mam tu coś do gadania!“ A małżonka jego tylko głową potrząsa, pyszniąc się koralami. A indyczęta czupurne i dumne, że ani przystępuj do nich. Pcha się to wszędzie, roztrąca innych, hałasuje — nieznośne stworzenia!

Wszyscy stronią od nich. Pan Jendor wyobraża sobie, że czynią to przez szacunek lub z obawy. A oni postępują tak dlatego, że nikt z podobnym pyszałkiem nie chce przystawać.

154.

Nad rzeką.

— Wojtek, wypędź gęsi na rzekę! mówi Walentowa do syna.

Wojtkowi twarz się rozjaśniła, bo bardzo lubi rzekę. Śliczny tam piasek złocisty. A co kamyków przeróżnych! Wojtek siedzie na brzegu i plusk! plusk! rzuca kamykami. A woda pryska do góry: raz wyżej, raz niżej, jak się uda.

— Halela! gąski, halela! woła Wojtek i wypędza je z podwórza. Za Wojtkiem biegnie Antek, pięcioletni braciszek, biegnie i Zabój, wielki; kudłaty pies, dobry stróż gęsi. Przywiązany on bardzo do Wojtka i do Antka.

Matka zasiadła tymczasem do obierania ziemniaków. Nie skończyła jeszcze roboty, a na podwórko wbiega zdyszany Wojtek i krzyczy:

— Antek wpadł do rzeki! Antek się utopił! Już go nie widać na wodzie!

— Jezu ratuj! woła matka i biegnie co tchu nad rzekę. Antka niema. Tylko gęsi pływają spokojnie, jak zawsze.

— Antek! Antek! krzyczy biedna kobieta. Płacz, ręce załamuje. Nie widać Antka!

Z za krzaków wyskakuje Zabój, cały mokry. Woda ścieka mu z ogona i z uszu. Chwyta Walentową za spódnicę i ciągnie. Kobieta idzie za psem.

Pod krzakiem leży Antek. Boże! Leży mokry i blady, jak nieżywy.

— Antek! Antek! woła matka i trzęsie chłopcem. Otworzył oczy i odetchnął. Chwała Bogu! Żyje! A Zabój skomli wesoło i kręci ogonem.

* 155.

Przyjaciele.

Franek i Janek! Tych przy sobie w każdym napotkasz czasie: czy przy zabawie, czy przy pracy, czy w domu, czy też w klasie.

Czasem zadanie bywa trudne. Namozól się, niebożę! Z pewnością wtedy mędrszy Franek Jankowi dopomoże!

Znów Janek, w klasie pierwszy siłacz, znany z swej ciężkiej dłoni, słabszego Franka przed psotami na każdym kroku broni.

Można wzajemnej tej pomocy przykładów podać wiele. Tak też powinni postępować prawdziwi przyjaciele.

Co Basia widziała na obrazku.



— Nie wiem, co znaczy ten obrazek — rzekła Zosia, przeglądając nową książkę.

Mała Basia wspięła się na palce i poważnie patrzyła na rysunek.

— A ja wiem! odrzekła.

— Opowiedzże, jestem bardzo ciekawa.

— To było tak — zaczęła Basia, westchnąwszy głęboko.

Tu jest jeden biedny, bardzo biedny pustelnik. On nie ma nic: ani łóżka, ani kanapki, ani stolika, ani buczków, ani nic.

On ma tylko ławkę do spania i pieńek zamiast stolika, a na nogach nosi sandały, a na oczach okulary, bo już źle widzi.

Aha! prawda, on ma jeszcze szafę w ścianie, ot tu, a w szafie jest jeden garnuszek i drugi garnuszek, a oba próżne, bo pustelnik jest bardzo biedny. A tylko w jednym garnuszku ma pustelnik miód słodki. Czasem bierze go do chleba. I tak żyje chlebem, miodem i korzonkami i jest bardzo, bardzo chudy i modli się na wielkiej książce.

No i raz wieczorem stało się tak.

Pustelnik modlił się w nocy bardzo długo, aż usnął przy modlitwie. O! trzyma jeszcze książkę w rękach, okulary ma na oczach i śpi. I drzwi zostawił otwarte i szafkę otwartą i wszystko otwarte. I śpi!

Ale przyleciał aniołek i usiadł nad staruszką i paluszek do ust przytknął i myśli, co tu teraz będzie, kiedy pustelnik śpi, a wszystko otwarte. A za-

jącek, który mieszkał u pustelnika i ma takie długie uszka, usiadł obok aniołka.

A staruszek śmieje się przez sen. A wiesz, Zosiu, dlaczego? Bo on aniołka zaraz zobaczył, choć ma oczy zamknięte.

A teraz przez drzwi otwarte wchodzi niedźwiedź i mruczy:

— Dobrze się udało! Drzwi otwarte, pójde zjeść pustelnika! Chudy on, co prawda, ale dobre i to na przednowku.

I prosto idzie do staruszka i już chce go pochwycić łapami, gdy naraz zaleciał go od szafy zapach miodu.

— Wolę pierwszej pokosztować miodu. Na pustelnika będzie czas i później.

A wtem aniołek tak zrobił, że niedźwiedź garnek zrzucił, narobił hałasu, a pustelnik zbudził się i wypędził niedźwiedzia.

*157.

Miś.

Wiadomo to nie od dziś: strasznie łakomy pan Miś. Miód on, jak ludzie stwierdzili, zwącha nieraz na pół mili.

Lecz bywa, że broniąc ula, opadną go pszczelne zgraje. Wtedy pan Miś uszy stula i szybko drapaka daje. Ryczy przytem mimowoli:

— Oj, jak boli! Oj, jak boli!

Szkoda, przygoda—do mądrości droga.



Kot i wróbel.

Skacze wróbelek po trawce, robaczki wyszukuje i ćwierka wesoło. Ani przeczuwa, co go czeka.

A tu kot z krzaka wypada, chwytą go i powiada:

— Mój jesteś. Należy mi się śniadanie. Słonko już wysoko na niebie. Miau-miau, mrr-mrr! Zjem ciebie!

Myśli wróbel:

— Tom wpadł! Tom wpadł! Nie szkoda mi młodych lat? Taki potwór będzie mnie jadł?

Wtem w główce mu zaświtało:

— Ćwirr! Ćwirr! Masz słuszność. Już ósma wybiła z wieży, śniadanie ci się należy. Lecz pozwól, jedną uwagę uczynię, gdy wolno. U panów taki obyczaj: pan nie je ani nie pije, póki ust sobie nie wymyje, nie wypłócze.

— Doprawdy?

Kot chciałby też panem być. Ano trzeba pyszczek myć. Stawia wróbla na kamyku, a sam do roboty.

Tylko na to czekał mądrał wróbel. Frrr! i poleciał światami.

Kot zgniewał się, lecz wziął do serca naukę. Nie zje odtąd niczego, nie wypije, póki buzi dobrze nie umyje. Tak sobie do dzisiaj radzi.

A wam też podobnie czynić nie zawadzi!

Chory kotek.

Pan kotek był chóry i leżał w łóžeczku. Przychodzi kot doktor.

— Jak się masz, koteczku?

— Źle bardzo... — i łapkę wyciągnął do niego.

Wziął za puls pan doktor poważnie chorego i dziwy mu prawi:

— Zanadto się jadło. Co gorsza, nie myszki, lecz szynki i sadło. Źle bardzo... gorączka. Źle



bardzo, koteczku. Oj, długo ty, długo, poleżysz w łóżeczku. I nic jeść nie będziesz. Kleiczek i basta! Broń Boże kielbaski, słoninki lub ciasta.

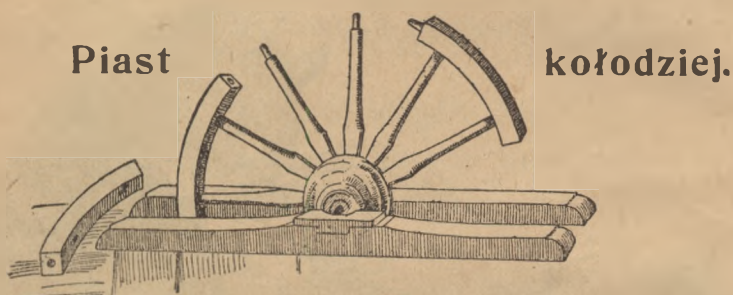
— A myszki nie można? zapyta koteczek. — Lub z ptaszka małego choć parę udeczek?

— Broń Boże! Pijawki i dieta ścisła. Od tego pomyślność w leczeniu zawisła.

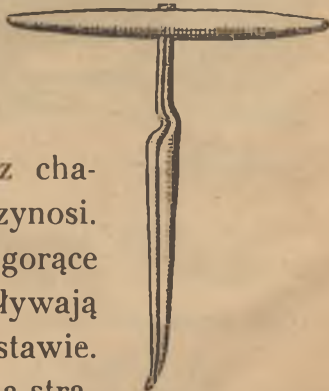
I leżał nasz kotek. Kielbaski i kiszki nietknięte!
Zdaleka pachniały mu myszki...

Patrzcie, jak złe łakomstwo. Kotek przebrał
miarę. Musiał więc nieboraczek srogą ponieść karę.

161.



Siedzi przed chatą Piast kołodziej. Przy nim narzędzia ulubione: topór, ośnik, młot i świder. Bierze on szprychy, w głowicy koła je utwierdza. Potem dzwona pokolei na szprychy nakłada, młotem drewnianym pobi-
ja i patrzy, czy wszystko w porządku.



Wyszła Rzepicha z chaty, mężowi posiłek przynosi. Dymi się w misie gorące mleko, a w mleku pływają kluski jak ryby w stawie.

Zajada Piast smaczną strawę i z żoną gwarzy. A tu słońko przygrzewa, wietrzyk zapachem łąk powiewa, ćwierkają ptaszki

w cieniu drzewa, zaś z niedalekiej pasieki brzęk pszczoł raz po raz dolata.

Wtem zaskrzypiała furta. Ziemowit, Piastów jedynak, wchodzi, z nim wraz podróżni dwaj młodzi.

— Gości wam przyprowadzam.

— Gość w dom, Bóg w dom! Piast na to.

Wnet też Rzepicha troskliwa ławę z izby wyciąga, kożuchem nakrywa. Na drugiej chleb, masło, miód, mleko stawia, podróżnych prosi, namawia, żeby zasiedli i jedli.

Podróżni się posilili, wypoczęli, a jeden powiada:

— Jakżeto całkiem inaczej w tej chacie obcych witacie, niżli na zamku Popiela! Tam, gdyśmy o gościnę prosili, psy przeciw nam wypuścili, żeśmy zaledwie z życiem uszli.

Wtem drugi się ozwie:

— Zato, żeście nas ugościli, przyjęli dobrem słowem, nakarmili, напоili, nie minie was od Boga nagroda i bliski dzień już, który ją poda.

.

A wkrótce potem Popiel przez myszy został pożarty. Zebrała się starszyczna, by wybrać nowego pana. Niebardzo się naradzali, zastanawiali: odrazu Piasta księciem wybrali, pewni, że lepszego nie znajdą.

162.

Rota.

Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,
Nie damy pogrześć mowy!
Polski my naród, polski lud,
Królewski szczep piastowy,
Nie damy, by nas zniemczył wróg...
— Tak nam dopomóż Bóg!

Do krwi ostatniej kropli z żył
Bronić będziemy Ducha,
Aż się rozpadnie w proch i w pył
Krzyżacka zawierucha.
Twierdzą nam będzie każdy próg...
— Tak nam dopomóż Bóg!

Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz,
Ni dzieci nam germanił.
Orężny wstanie hufiec nasz,
Duch będzie nam hetmanił,
Pójdziem, gdy zabrzmiał złoty róg...
— Tak nam dopomóż Bóg!

163.

Jagnię.

Wyrzało jagnię z obory na świat i pyta matki:
— Me-e, me-e, a co to za złociste pole?
— To łąn pszenicy.
— A pszenicę jeść można?
— Naprzód skoszą łąn żniwiarze, potem będzie
wymłócona, potem młynarz zmiele ziarna, wkońcu

ją otrzyma piekarz. On z niej zrobi chleb lub bułkę, te zaś dają dzieciom zdrowie. Lecz grzeczna owca pszenicy nie pragnie. Śpij, moje jagnię!

— Och! westchnęła mała. — To dla nas już nic niema prócz trawy?

I wyjrzała znowu na świat.

— Me-e, me-e, a co to za zielone pole?

— To łąn grochu.

— A groch jeść można?

— Wprzód go zebrać ma gospodarz, potem złuszczyć groch dziewczęta, gospodyni go opłócze i na kuchni ugotuje. Każdy natenczas ze smakiem groch zjada, bo to potrawa naprawdę nielada. Lecz grzeczna owca grochu nie zapragnie. Śpij, moje jagnię!

— Och! westchnęła mała. — To dla nas już nic niema prócz trawy?

I poraz trzeci wyjrzała w świat.

— Me-e, me-e, a co to za czerwone pole?

— To łąn koniczyny.

— A koniczynę jeść można?

— Gospodarz zbierze ją, kiedy potrzeba, jest zaś smaczniejsza od grochu i chleba. Nie grzech więc, jeśli owieczka jej pragnie. Śpij, moje jagnię!

— Ależ kiedy tak, to właśnie spać nie będę. Dość mam już trawy. Ja chcę koniczyny, koniczyny!

W nocy myśli sobie jagnię: Nie przychodzi koniczyna do mnie, to ja pójdę do niej.

Wybiega więc chyłkiem z obory. A ciemno, choć oczy wykol. Jak tu znaleźć koniczynę?

Pyta jagnię sowy:

— Me-e, me-e, gdzie koniczyna? Gdzie?

Odpowiada sowa:

— Ki-wit, ki-wit, panienko bosa, gdzie koniczyna? Ot tu, prosło nosa.

Biegnie owieczka prosto nosa — koniczyny ani śladu.

Pyta kogucika:

— Me-e, me-e, gdzie koniczyna?

Pan Koguciński dziób odmyka:

— Na końcu języka!

Już ranek. Pyta znów osła:

— Me-e, me-e, gdzie koniczyny szukać mam?

A osieł:

— Gdzie chcesz. Tu albo tam.

Szuka jagnię tu i tam — koniczyny niema. Szuka przez dzień, dwa dni, przez tydzień, trafia wreszcie na żółte pole.

Pyta kozy:

— Me-e, me-e, gdzie koniczyna? Blisko, czy też wdali?

— Ot, tutaj właśnie, lecz już ją zebrali.

— Gdzie tutaj?

Patrzy jagnię i widzi zdziwione, że dobrze zna to miejsce.

Po tylu dniach błakania się stoi znowu przed swą oborą, z której uciekło.

— Co z koniczyną? pyta. — Gdzie ona?

— Oho! Zjedzona! Zjedzona!

164.

W lesie.

(Piosnka).

D z i e c i :

1. Zawitał nam dzionek
I pogodny czas.
Pójdziemy, pójdziemy
Na jagody w las.

Na jagody, na maliny,
Na czarniawe te jeżyny
Pójdziem, pójdziem w las!

2. — A ty, ciemny lesie,
A ty, lesie nasz!
A skądże ty tyle
Tych jagódek masz?

I poziomki i maliny
I czernice i jeżyny,
A skądże je masz?

L a s :

3. Uderzyły deszcze,
Przyszło słońko wraz,
Zarodziła ziemia
W dobry, błogi czas.

Te jagody, te maliny,
Te czernice, te jeżyny,
W dobry, błogi czas!

165.

Mysz wiejska i mysz miejska.

Mysz wiejska: Witam cię, witam, siostrzyczko miła. Usiądź, proszę. Musisz być zmęczona. Z miasta kawał drogi do mojej norki w polu.

Mysz miejska: Dzieńdobry, kochana! Chciałam zobaczyć, co się z tobą dzieje. Bałam się, że

głód cierpisz. Wiem, że u was na przednowku krucho.

Mysz wiejska: Ziarna jest dosyć. Posił się. Ot, pszenica, a tu trochę żyta. Jedz, proszę.

Mysz miejska: Doprawdy żal mi cię, siostró.



Zawsze jedno i to samo: pszenica i żyto. A ta norka twoja! Przenieś się do miasta. Zamieszkaj ze mną. Mieszkanie mam obszerne. Biegam po spiżarni, po pokojach. Czasem wśliznę się i do kuchni. Jest słoninka, szyneczka, ser. Chodź, siostró. Po-

rzucisz pole i tę norkę, gdy zobaczysz bogactwa, wśród których żyję.

Mysz wiejska: Pójdę. Tylko się ogarnę trochę. Ale jak ty się wystroiłaś! Co za wstążki! Co za suknia!

Mysz miejska: To najmodniejszy obecnie kapelusz. Suknia także ostatniej mody. Właśnie wczoraj ją odebrałam.

Oto już mieszkanie moje. Wejdzmy na schody. Teraz tędy przez tę szczelinę pode drzwiami. O, stół zastawiony. Siadaj, siostró! Jedz, proszę. Są ciasta, tu ser, jest świeża bułka i maselko.

Mysz wiejska: Doprawdy, śliczne mieszkanie. Stół obrusem nakryty. Talerze malowane w piękne kwiaty.

Ale czego ty zbladłaś, siostró? Czemu tak niepokojnie oglądasz się wokoło? Czy ci słabo? Zmęczyłaś się drogą? Napij się wody.

Mysz miejska: Ach, uciekajmy, uciekajmy! Tam pod szafą jest wejście do mojej nory. Prędeż, siostró, prędeż...

Chwała Bogu, żeśmy się skryły przed Mruczusiem. Niegodziwy to kot! Włoczy się po całym domu. Wciąż muszę mieć się przed nim na baczności.

Mysz wiejska: Dziękuję za piękne pokoje. Dziękuję za przysmaki. Wolę moją norkę w polu, ciasną, ale bezpieczną. Wolę skromne pożywienie. Bywaj zdrowa, siostró! Radzę ci, sprowadź się do mnie.

* 166.

Kasia gęsiarka.

Znacie zapewne tę małą Kasię, co stada gęsi po łąkach pasie. Myśli raz ona:

— Gorzka to dola tak się z gąskami wodzić na pola. Zbudzą cię do dnia, ruszaj za wrota, a przyjdiesz do dom, czeka robota. O, wy na niebie chmurki, słyszycie? Mieć całkiem inne chciałabym życie:

Zamiast tej biednej, szarej siermięgi, suknie bogate, złociste wstęgi. Nie na bosaki biegać po świecie, jenobym chciała jeździć w karecie. Mieć piękne suknie, krasne korale i do roboty nic a nic wcale!

A wtem od strachu aż zadrży mała. Ktoś spyta nagle:

— Tegobyś chciała?

To wróżka. Barwna niby motyle, jakże przemawia słodko i mile!

— By ci dogodzić, śpieszę zdaleka. Karety pragniesz? Kareta czeka. Na miejsce chaty, pałac bogaty, zamiast płótnianki jedwabne szaty. Na szyi wstęgi, krasne korale i do roboty nic a nic wcale!

O, dolo cudna, o, dolo słodka! Nito królewna żyje sierotka. W samych uciechach dni Kasi biega, jak dzień zaś długi, nie tknie niczego. A jednak czasem coś się odzywa w serduszkku dziecka: „Czy ty szczęśliwa?”

Raz na przechadzce ścieżyną polną chciała bławatów narwać. — „Nie wolno!” Chciała w ogrodzie podlać kwiatuszki. — „Nie wolno!” słyszy znowu głos wróżki. Chciała pospędzać z grządek kurczęta. — „Nie wolno!” woła wróżka zawzięta.

— Wszak sama, Kasiu, prosiłaś o to, by cię nie trudzić żadną robotą!

Żle, myśli dziecko, i do kącika! Łamie rączęta, łezki połyka.

— Co mi po złocie, po aksamicie, a toż mnie na śmierć znudzi to życie. O, gdyby wrócić z tej klatki złotej do swoich gąsek, do swej roboty!

Wtem, trzask! aż drgnęło serce Kasienki.

To był sen tylko. O, Bogu dzięki!

167.

Jak to nazwać jednym słowem?

Dzień z nocą liczony,
Dach słomą posyty,
Dom Bogu wzniesiony,
Deszcz bardzo gwałtowny,
Wodę, kiedy kipi,
Zamarzniętą wodę,
Dla pszczoł domek mały,
Drzewo przepalone,
Ziarno umielone,
Wysuszoną trawę,
Obrazu oprawę.

168.

Lato.

1. Czerwiec.

Po wiośnie przyszło Lato, niby nowa gospodyni. Miała zaś ta gospodyni trzech synów: trzy miesiące.

Zwróciła się do najstarszego i powiada:

— Słyszysz? Co ptak, to świergoce. Trzebaby je nakarmić. Wydobądźże z trawy, z pod kory czerw¹⁾, niech się nasycą te małe śpiewaki.

I miesiąc tak zrobił, a od onego czerwiu nazwali go Czerwcem.

Chodzi sobie Czerwiec po polu, po ogrodach, patrzy, jak wszystko rośnie pięknie, gdzie jaka robotą. A tu nadciąga święty Jan Chrzciciel²⁾ i woła do niego:

¹⁾ = gąsienica owadzia bez wyraźnej głowy i bez nóg. ²⁾ 24 czerwca.

— Nie widzisz, jak utrudzeni są ludzie pracą? Zaprowadźże ich do rzeki, do stawu, niech się orzeźwią kąpielą.

2. Lipiec.

Kiedy święci Pańscy, Piotr i Paweł¹⁾, kazali Czerwcowi, by sposobił się do drogi, Lato młodszemu jego bratu oddało na miesiąc rządy.

Ten przedewszystkiem do lip wziął się, by kwitły pszczołom na pożytek. A tak dostał imię Lipiec.

Potem, aby posucha nie zniszczyła plonów, chmury od czasu do czasu zganiał i rosił ziemię. Zaraz-ci huk, łoskot, burza, deszcz leje jak z cebra! Czasem zasłoci się też po ulewie i narzekają ludzie:

— A nie wiesz to, Lipcu, że zboże dojrzewa? Oto już dzień świętych Apostołów²⁾. Niechajże po suchej drodze idą od chaty do chaty, wołając:

— Na żniwa! Po nowy chleb!

3. Sierpień.

Po Lipcu ostatni z trzech braci nastał. Matka dała mu sierp do ręki. Kto więc tylko go obaczył, zaraz poznał, że to Sierpień.

— Jeszcze w polu — powiada Lato nowemu miesiącu — wiele do sprzątnięcia. Jeszcze tu i ówdzie stoi pszenica i jare żyto i owies. A gryka także upomni się o swoje. A koniczyny, a sianokosy...

„W sierpniu przewodzi sierp, mitręgi nie cierp!“
Jakoż Sierpień nie mitrężył czasu, nie przestraszył się upałów, co przypiekały ognistym żarem, a pracował i pracował. Chłodziły go rosy i mgły po nocach, niekiedy nawet wieczorem i rankiem.

¹⁾ 29 czerwca. ²⁾ 15 lipca, święto Rozesłania Apostołów.

Gdy zaś stanęły już stogi w polu, gdy napełniły się stodoły i śpichlerze, otarł Boży pracownik czoło z potu i ukląkł przed Bogurodzicą Częstochowską¹⁾.

— Oto, uczynilem, co mogłem — modlił się. — Ty zaś, Najświętsza Panno, pobłogosław nowozebranemu chlebu, iżby jak najwięcej sił zeń przybyło Ojczyźnie!

* 169.

Pszczółki.

Brzęczą pszczołki nad lipiną, pod błękitnem niebem. Znoszą w ule miodek złoty, będziem go jeść z chlebem.

— A wy, pszczołki pracowite, robotnice Boże, zbieracie wy miody z kwiatów, ledwie błysną zorze.

— A wy pszczołki, robotniczki, chciałbym ja wam sprostać, rano wstawać i pracować, byle miodu dostać.

170.

Zagadka.

Słodkie owoce mej pracy chętnie ludziom składam w darze, lecz jeśli kto mi przeszkadza, boleśnie żądnem go karzę.

171.

Spór.

Kłós ze słomą spór raz wiodły.

Twierdził kłós, że to dla niego ludzie zasiewają pola. Słoma sobie znów, że dla niej ludzie zasiewają pola.

¹⁾ 31 sierpnia.

— Poczekajcie — rzecze ziarno — wnet gospodarz przyjdzie tutaj, by na gumno zwieźć półkopki. Na klepisku się pokaże, poco ludzie zasiewają pola.

Tak też stało się istotnie. Bo gdy cepy na klepisku ukończyły już robotę, słoma poszła do stodoły, plewę kłosa wiatr rozprószył, ziarno zaś, które wypadło, pozbierano i do śpichrza zaniesiono.

A gospodarz wziął je w garść i ucałował i dziękował Panu Bogu.

172.

Postrzyżyny Mieszka.

Błogosławiły nieba Ziemomysłowi. Miłował go naród, szczęśliwym więc czuł się prawnuk Piasta.

Jednem tylko gryzł się i martwił dobry książę. Oto syn ukochany, Mieszkiem nazwany, ślepy przyszedł na świat. Książę zwoływał lekarzy. Ci chłopcu zioły różnemi oczy okładali, obmywali — lecz wszystko napróżno.

A gdy rok siódmy miał Mieszko zacząć, odbyły się postrzyżyny. Według starego zwyczaju, chłopcom z końcem szóstego roku życia włosy po raz pierwszy ucinano. Tem zaznaczano, że już dzieckiem chłopiec być przestaje, że z pod opieki matki pod władzę ojca się dostaje, który ma także obcięte włosy.

Na dzień więc uroczystości, Ziemomysł pospraszal gości. by się z nim razem cieszyli. Gorzkaż to była uciecha! Książę się niby uśmiecha, niby się raduje, weseli, lecz mu spokoju nie daje myśl, że syn Mieszko, niebożę, nic z tego widzieć nie może.

Zanim do stołu podano, przyprowadzają chłopczynę. Siwy kapłan, w białej szacie, do bogów modły zanosi, o zdrowie dla Mieszka prosi. Potem do gości się zwraca, wskazuje, jak ważna to chwila, nad głową Mieszka się schyla i jasne pukle odcina.

Wtem — co za krzyk się rozlega? Krzyk Mieszka! Co mu się stało? Czyżby mu dotknięcie nożyc ból taki sprawiało? Czyżby chłopię uciętych włosów tak żałowało?

Biegną doń rodzice, biegnie gromada gości. A chłopiec nie ustaje krzyczeć, jednak z radości, nie z żalości. Krzyczy i skacze, a co podskoczy, przeciera oczy i woła:

— Ja widzę! Ja widzę!

Wówczas kapłan sędziwy rzecze do księcia i księżnej:

— Wielka to łaska, zaprawdę, że niebo się zli-towało, że dziecko wasze przejrzało. Niechże ten syn wasz, niech Mieszko, szczęśliwie podrasta, niech szczęścia zaznaje stale — wam ku pociesze, sobie ku chwale.

173.

Zagadka.

Znasz dwoje małych okienek? Zupełnie podobne oba. A możesz je zamykać, a możesz je otwierać, kiedy ci się spodoba.

Zamykasz je, skoroś senny; otwierasz, budząc się rano. Oglądasz przez nie świat i życie na nim całe, chociaż świat ten tak ogromny, a one tak małe.

Otwiera je, kto odważny, przymyka je, kto się lęka. Czy nie mógłbyś mi powiedzieć, co to za okienka?

Do Warszawy.

Franek nie miał spokoju, odkąd zapowiedziano w szkole wycieczkę do Warszawy.

Wieczorami, po lekcji, spisywał wszystko, co zabrać musi ze sobą. Były tam rzeczy takie, jak grzebień, mydło, ręcznik, a także koszyk czereśni, kopa pierogów z serem i t. p. Nawet nad tem prze-myśliwał, czy nie trzebaby i Burka wziąć, aby także zobaczył Warszawę. Dopiero nauczyciel wyłuma-czył Frankowi i podobnym, jak on, mądrałom, że tak nie podróżuje się kolejami.

Wyjazd był naznaczony na godzinę piątą rano. Chłopczyzna długo zasnąć nie mógł, tak nabił sobie głowę podróżą. A kiedy wkońcu sen go zmorzył, trzeba było już wstawać.

Zerwał się na równe nogi, pacierz zmówił, umył się i w mig był gotów.

— Żeby tylko na czas dojść do kolei! powta-rzał raz po raz.

Mleka podanego mu przez matkę nie dopił, za-rzucił plecak na ramiona i już się żegna.

Ojciec powiedział, że go odprowadzi. Zatem ojca naglił, bo — wiadomo — pociąg nie czeka.

Byłby najchętniej pędem pomknął przed sie-bie. Musiał jednak miarkować swe kroki wedle chodu ojca.

— Z pewnością przyjdziemy za późno! wzdychał.

Zbliżali się już do stacji, gdy nagle zaświstało, zahuczało i jak wąż potężny, wysunął się pociąg

z poza budynków stacyjnych. Nasz Franek naprzód jakby skamieniał, potem zaś w płacz.

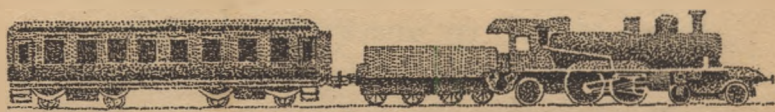
— A widzi tato? A nie mówiłem? Już odjechali!

— Nie odjechali, jestem pewny, — odpowiedział ojciec. — Zresztą przekonamy się o tem.

Zdyszany, spocony, z oczyma zaczerwienionemi od płaczu, wyprzedzając ojca, dotarł wreszcie Franek do stacji.

O, co za radość! Są koledzy, jest i nauczyciel.

To zgoła inny był ów pociąg, który wprowadził Franka w takie przerażenie. Wycieczka odjedzie dopiero za pół godziny!



*175.

Nasze grody.

Niechno ja wyrosnę, konik raźnie skoczy, popędzimy sobie, siwku, hen-hen, w świat za oczy.

Pierwszy pokłon tobie, stolico Warszawo. Na-cierpiałś się w niewoli, raduj się dziś sławą.

Potem przed Wawelem czapeczki uchylę. Po-tem gród walecznych dzieci, Lwów, powitam mile.

Potem do Poznania, z Poznania do Gniezna, by kto nie rzekł: „To mi Polak, co swych grodów nie zna“.

176.

Orzeł Biały.

Wczoraj maszerowało przed naszą szkołą wojsko. Żołnierze w szarych mundurach, z karabinami wspartymi o ramię, śpiewali wesołą piosenkę.



Niby starszy brat kościelny na procesji, niósł jeden żołnierz na przedzie chorągiew czerwoną. Kiedy wiatr ją rozwiał, здавало się, że wielki, biały ptak, wyhaftowany na chorągwi, zrywa się do lotu.

Pytają dzieci, co znaczy ta chorągiew.

— A nie pamiętacie, jak Lech bronił swej ziemi?

— Bronił jak orzeł gniazda.

— Bardzo dobrze! Jednak Lech pragnął, żeby wszyscy Polacy bronili swej ziemi ojczystej jak orły. Dlatego kazał nosić przed wojskiem chorągiew z orłem białym. A że na wojnie od krwi czerwienia się pola, przeto i orła białego pomieścił na tle czerwonym.



Dziś, kto orła tego nosi, całemu światu mówi, że jest Polakiem. Orzeł Biały to nasz znak. Wisi on w naszej izbie szkolnej i nad bramą, bo to jest polska szkoła, a wy dzieci ziemi polskiej.

Katechizm polskiego dziecka.

Kto ty jesteś?

— Polak mały.

Jaki znak twój?

— Orzeł biały.

Gdzie ty mieszkasz?

— Między swemi.

W jakim kraju?

— W polskiej ziemi.

Czem ta ziemia?

— Mą ojczyzną.

Czem zdobyta?

— Krwią i blizną.

Czy ją kochasz?

— Kocham szczerze.

A w co wierzysz?

— W Polskę wierzę.

Coś ty dla niej?

— Wdzięczne dziecię.

Coś jej winien?

— Oddać życie.



M 41942/1



UP - Kraków BG



1050155452

